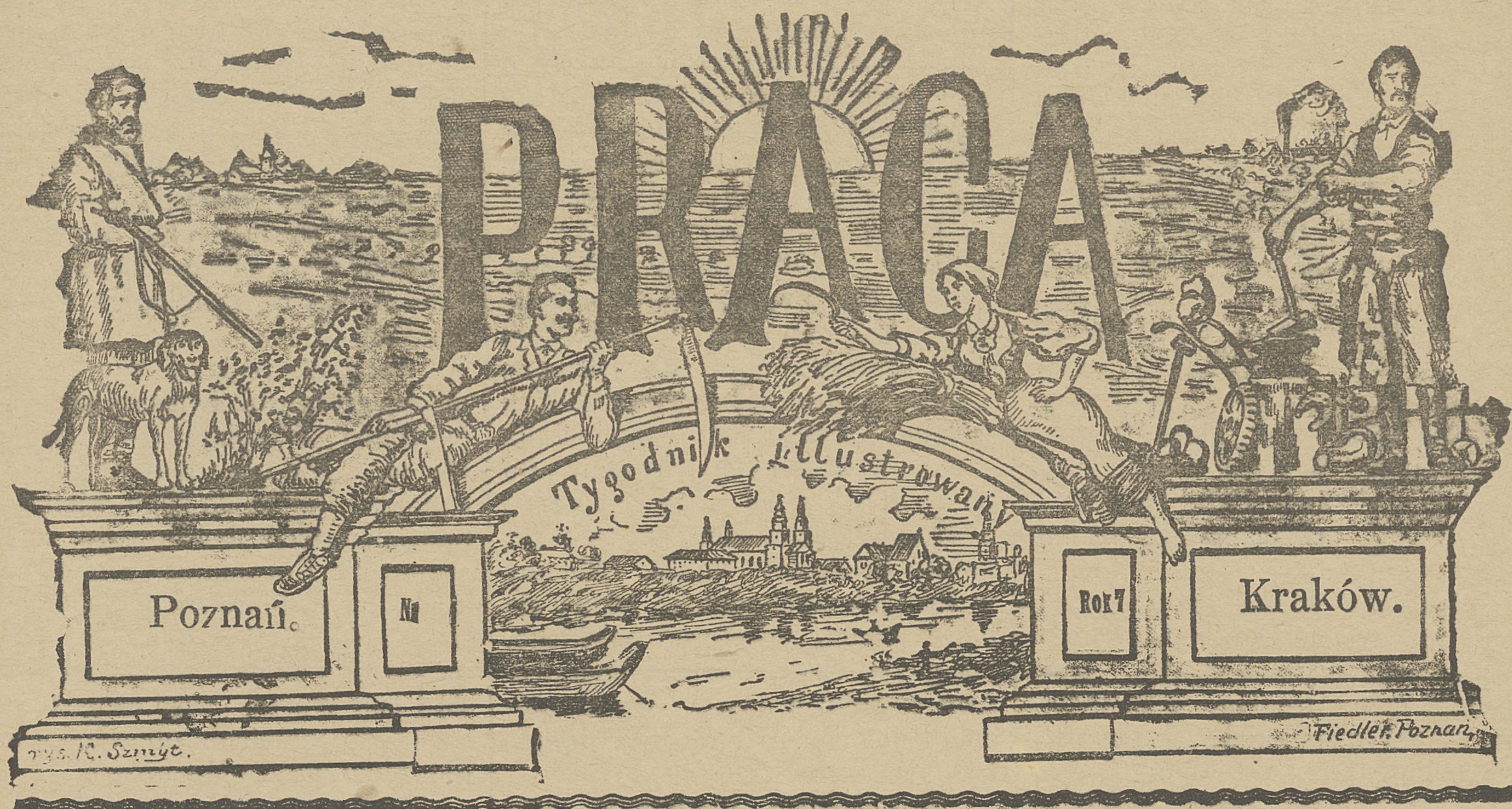


Trochę energii.

Na Górnym Ślązku polskość powstała jak feniks z popiołów. myśl polska krzewi się bujnie, coraz to nowe kiełkują latorośle. Zrobiliśmy tam potężny wyłom w murze niemczyzny, zdobyli jeden szczero-polski mandat i trzecią część wszystkich głosów wyborczych, rozsiali po całym Górnym Ślązku ziarna polskości, nad któremi czuwa dość liczny już zastęp dzielnych, wypróbowanych w boju pracowników i piastunów ideałów narodowych. Z radością przeto spoglądamy na owoce pracy i strzelając myślą w przyszłość Górnego Ślązka, z ufnością oczekujemy dalszych postępów i zdobyczy, — na podstawie tego, co osiągnęliśmy, oraz na podstawie rozumowej budując nadzieję zupełnego skruszenia pętów centrowych, wyzwolenia i zwycięstwa polskości na ziemi Piastów.

Jest w tem niewątpliwie zasługa nie całej dzielnicy wielkopolskiej lecz pojedyńczych jednostek, które zakładały tam pisma ludowe i innych, którzy rzuciwszy ojczyste strony poszli tam jako pionierzy polskości karczować, orać i zasiewać tę polską ziemię. Pracownikom tym towarzyszył wzrastający interes ogółu.

Podczas gdy nad Odrą pełniliśmy nasz obowiązek względem braci, tonącej w morzu niemieckiem, zupełna niemal obojętność panowała dla *Mazurów*. Na południowym krańcu czyniliśmy zdobycze, a na północno-wschodnim pozwoliliśmy Niemcom łowić w swe sieci zastępy dzielnego ludu mazurskiego.

Dwa lata temu przestała wychodzić w Ełku gazetka, która była tam nikłym i marnym, ale jedynym ognikiem myśli narodowej. Zaległa odtąd cisza złowieszcza — grobowa.

Że grasująca tam niemczyzna, nie znajdując znikąd oporu zapuszcza na Mazowszu coraz głębsze zagony — nie ulega wątpliwości. Przyjrzyjmy się cyfrom.

W roku 1898 padło w okręgu szczycieńsko-zundzborskim na polskiego kandydata 5874 głosów, a przy ostatnich wyborach tylko 3925, podczas gdy Niemiec miał przed pięciu laty 7316, a teraz 12,837 głosów. Znaczny ubytek polskich głosów trzeba przypisać temu, że agitacya w tym roku nie była tam tak sprężystą jak dawniej. Wszelako gdyby poczucie narodowe wzrastało pomiędzy Mazurami, mimo wszystko kandydat polski byłby otrzymał mniejwięcej tyle głosów co przed 5 laty, a przy równej agitacyi daleko większą liczbę. A zatem, patrząc nawet optymistycznie na rzeczy, z powyższych cyfr musimy wywnioskować, że na Mazowszu panował zastój. Ze spisów zaś ludności okazuje się, że germanizacya robi tam postępy. Do pewnych danych pod tym względem dojść niepodobno, bo statystyka pruska dzieli miejscową ludność na Mazurów i Polaków chcąc wmówić w Mazurów, iż nie są Polakami i rozgraniczyć ich. Powtóre spisy ludności odbywają się tendencyjnie; urzędnicy sztucznie tworzą jaknajwiększą liczbę Niemców tak, iż z całą pewnością da się powiedzieć, że liczba mieszkańców, których ojczystym językiem jest polski, jest daleko większą, aniżeli przyznają urzędowe księgi. Według tego, co słyszeliśmy z ust kompetentnych w wymienionym okręgu wyborczym liczba Mazurów wynosi więcej, niż 90 procent ludności.

Statystyka pruska podawała w roku 1900 ogółem w Prusach wschodnich 140 tys. „Mazurów," dziesięć lat przed tem było tam Mazurów 100 tys., według innych źródeł 109 tys., tak iż przybyło około 40 tys. Mazurów, z drugiej strony ubyło znacznie Polaków t. j. katolików polskiego języka i uświadomionych narodowo protestantów polskich, bo w r. 1890 liczba ich miała wynosić 216 tys., a w r. 1900 tylko 155 tys. Jakie wnioski

dadzą się z tego wyciągnąć. Że w ciągu lat 10 ubytek Mazurów i Polaków wynosił co najmniej *20 tys.* jeźli przyjmiemy za fakt, że ludność nie powiększyła się liczebnie. Około 60 tys. polskiego ludu zatraciło poczucie narodowe: tych *20 tys.* zniemczyło się, a *40 tys.* nazwało się Mazurami czyli odsunęło się od polskości, stało się niejako Prusakami polskiego języka.

Lepiej od tych cyfr, z których można różne wyciągnąć wnioski, maluje smutny stan rzeczy hakatystyczna „Schl. Ztg.,“ która tryumfująco pisze o ogromnych postępach germanizacyi na pruskiem Mazowszu, przypisując to działalności szkoły.

Skądinąd wiemy, że rzeczywiście nauczyciele tamtejsi, popierani i zachęcani przez władze, prześcigają jeden drugiego w niemczeniu dzieci mazurskich. A pastorowie pomagają im w tem, upośledzając i wypychając język polski ze zborów, o ile się da. Chociaż parafianie ich składają się prawie wyłącznie z Mazurów, dwie trzecie nabożeństw odbywa się w języku niemieckim i to w najdogodniejszych godzinach. Gdyby zaś nie obawiali się, że ten i ów Mazur nie słysząc swej mowy w zborze, pójdzie do kościoła katolickiego, z pewnością usunęli by całkiem język polski, którym władają bardzo słabo. A pomiędzy dzisiejszą generacyą pastorów nie ma bodaj dwóch, którzy nie byliby germanizatorami najczystszej wody.

Czyż podobno, aby lud ten nieuświadomiony, odcięty od pnia polskiego i wydany na pastwę germanizacyi, zachował swój język i swe cechy rasowe? Wprawdzie lud jest najodporniejszym ze wszystkich warstw społecznych przeciw wynarodowieniu, dlatego nie sądzimy, aby mimo wszystko niemczenie Mazowsza postępowało tak chyżym krokiem jak pragną hakatyści. Wszelako *położe ie jest nadzwyczaj groźne.* Jeźli Polacy nie zdadzą sobie sprawy z tego i nie przedsięwezmą bardzo energicznych środków — prędzej czy później spełni się przepowiednia „Schl. Ztg. i nad jeziorami mazurskiemi coraz mniej będzie można słyszeć polską mowę, a na osadach polskich rozgości się czarny orzeł pruski.

Opuszczeni! Tonący!

Czyż długo jeszcze będziemy patrzeli ze ściśnionem sercem polskiem lecz — z założonemi rękoma na tych naszych opuszczonych, tonących w niemczyźnie Mazurów? Czy przez opieszałość wydamy sto kilkadziesiąt dzielnych pracowitych i sympatycznych kmieci naszych na zagładę narodową? Czy tak skarłowacieliśmy, że pozwolimy ich sobie wydrzeć Prusakom?

Dziś jeszcze czas spieszyć z ratunkiem — jutro może być zapóźno. Widzą to także rodacy w Warszawie i jak czytamy w „Gaz. Polskiej,“ pragną podobno wskrzesić w Ełku „Gazetę Ludową,“ która według „Schl. Ztg.“ „napełniła Niemców wielkiemi obawami.“ Bo chociaż hakatyści, nie obeznani z blizka z Mazowszem, wróżą blizki koniec polskości tamże, Niemcy w Prusach wschodnich lękają się nawet cienia agitatora polskiego, jak gdyby czuli, że przy energicznym wysiłku z naszej strony możnaby w puch rozbić całą niemieckość na Mazowszu.

Niewątpliwie pierwszym krokiem do rozbudzenia poczucia narodowego jest wskrzeszenie gazety polskiej, która przeciwdziałała-by agitacyi konserwatystów niemieckich i ich w Królewcu wydawanemu „Pruskiemu (!) przyjacielowi ludu,“ rozrzucanemu w przeszo 9 tys. egzemplarzach. Jakoż możemy z radością zawiadomić Czytelników, że *pod koniec bieżącego roku powstanie na nowo gazeta dla Mazurów* i to na silnej oparta podstawie, z inicyatywy i pod dzielnem kierownictwem pewnego obywatela wielkopolskiego.

Lecz nie dość powołać do życia gazetę, trzeba zorganizować obronę tego opuszczonego ludu na szerszą skalę. Krótko mówiąc na uratowanie Mazurów potrzeba: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Jeżeli Warszawianie rzeczywiście noszą się z zamiarami podjęcia obrony tej placówki polskiej w Prusach Wschodnich — znajdzie się i dla nich szerokie pole działania. A skoro na czele tego ruchu staną ludzie nietylko dobrej woli, ale energiczni, praktyczni i pełni, — nie słomianego zapału, wystąpią tam pionierzy do walki z pruską germanizacyą i — odbijemy Mazowsze.

Nawiasem mówiąc, sprawa ta posiada dla naszej dzielnicy obok narodowej także niemałą ekonomiczną doniosłość. Odsunięci od wszelkich karyer rządowych i bojkotowani na każdym kroku, musimy szukać pola do zawodowej pracy dla młodych sił wstępujących w życie. Otworzyliśmy dla nich Górny Ślązk, obecnie trzeba nam przygotować dla nich teren na Mazowszu i na Warmii, stworzyć zawiązki polskich ognisk. Lekarze adwokaci i kupcy otrzymując chleb swój od ziemi mazurskiej, wnosiliby tam ducha polskiego, przykładali rękę do oświaty ludu, do zawiązywania towarzystw, jednem słowem byliby rozsadnikami kultury polskiej.

Wszystko to leży w granicach naszej możności, byleśmy tylko — jak mówi Wyspiański — „*chcieli chcieć.*“ Nie ma obawy, aby nie stało kapitałów do tego wielkiego przedsięwzięcia narodowego, zwłaszcza jeźli Koroniarze z niemniejszą od nas zabiorą się do dzieła wytrwałością. Myśl rozpoczęcia akcyi na szeroką skalę dojrzała nad Wisłą i nad Wartą, więc czegoż potrzeba do spełnienia obowiązku narodowego wobec Mazurów?

Trochę energii.....

M. R. Wierzbiński.



Zmiana regulaminu wyborczego
do sejmu pruskiego.

Regulamin wyb. do sejmu pruskiego uległ zmianom polegającym po pierwsze na zniesieniu prawa własnoręcznego protokółowania, po drugie uproszczeniu wyborów ściślejszych, po trzecie zjednoczeniu wyborców w okręgach, gdzie kilku posłów się wybiera.

W paragrafie 15 dotychczasowego regulaminu brzmiał końcowy ustęp: Wymienione nazwiska zapisuje protokólista obok nazwiska prawyborcy w obecności jego do listy, albo pozwala zapisać je na osobne życzenie prawyborcy samemu.

Obecnie paragraf ten brzmi: Wymienione nazwiska wpisuje protokólista natychmiast i w obecności prawyborcy obok jego nazwiska do listy. Własnoręczne wpisywanie przez prawyborcę jest więc teraz niedozwolone. Także przy wyborach posłów samych (nie walmanów) w paragrafie 27 skreślono przepis uprawniający walmana do zapisania własnoręcznie nazwiska kandydata do protokółu. Wolno także używać pisowni ukracającej, lecz tylko takiej, która nie pozostawia wątpliwości co do wybranej osoby.

Przy wyborze posłów obowiązywa-

ły dotychczas następujące przepisy paragrafu 28 regulaminu: Jeżeli żaden kandydat nie otrzymał absolutnej większości głosów (t. j. przynajmniej połowy wszystkich oddanych głosów, natenczas musi odbyć się powtórne głosowanie. Podczas niego nie wolno głosować na takich kandydatów, którzy przy pierwszem głosowaniu nie otrzymali żadnego, albo tylko jeden głos. To drugie głosowanie przeprowadza się pomiędzy resztą kandydatów w ten sam sposób, jak pierwsze. Choćby nawet drugie głosowanie nie doprowadziło do absolutnej większości, to w każdem z następnych głosowań przepada ten, który otrzymał najmniej głosów, tak długo, dopóki absolutna większość nie zgromadzi się na jednego kandydata.

Dotychczas więc wszyscy kandydaci, choćby tylko jeden głos byli otrzymali, brali udział w wyborach ściślejszych. Obecnie wybory ściślejsze odbywać się będą tylko pomiędzy dwoma pierwszymi kandydatami. Paragraf 28 brzmi obecnie:

„Jeżeli przy pierwszych wyborach absolutna większość nie zostanie stwierdzoną, następuje ściślejszy wybór pomiędzy tymi kandydatami, którzy otrzymali najwięcej głosów. Wszystkie głosy oddane na innych kandydatów są nieważne.“

Paragraf 27 brzmiał dotychczas: „Każdego kandydata wybiera się w osobnym akcie wyborczym.“ Teraz brzmi on:

„Jeżeli wybierać trzeba kilku posłów, natenczas każdy walman musi natychmiast wymienić kogo wybiera na pierwszem, drugiem i trzeciem miejscu. Można na każdem miejscu wymienić jedno i to samo nazwisko“.

Trudności regulaminu wyborczego nie zostały przez nowy regulamin usunięte, gdyż najgorsze z nich dadzą się tylko usunąć w drodze prawodawstwa. I podług nowego regulaminu n. p. trzeba będzie wybierać posłów do sejmu w miejscowościach, gdzie niema odpowiednich lokali, które pomieściłyby wszystkich walmanów.



Pożyteczna literatura.

IV.

Utarł się już u nas w szerszych kołach mniemanie, że *lokalne* przyczyny, skłaniające lud nasz do szukania pracy i chleba na obczyźnie, stoją w ścisłym związku z *jakością ziemi*, czyli innemi słowy, że z powiatów, posiadających lichą glebę więcej wychodzi ludzi na zachód, niż z powiatów o dobrej glebie, a tem samem zamożniejszych. Tymczasem cyfry, jakie przytacza autor, wykazują, że mniemanie to nie jest zupełnie trafne. Mamy bowiem bardzo żyzne powiaty, z których stósunkowo dużo wychodzi ludzi na zachód, i na odwrot powiaty z gorszą ziemią, które do ogólnej liczby wychodźców mały tylko dorzucają procent. Stwierdza to następująca tabela, w której przed liczbą wychodźców podana jest *stopa wydajności ziemi według taksy do podatku gruntowego*, czyli tak zw. *„Grundsteuerreinertrag.“*

a) w obwodzie rejencyi poznańskiej.

Powiaty:	Dochód z hekt. według podatku grunt.	Liczba wychodźców.
1) Wrzesiński	10,18 mk.	275 osób
2) jarociński	10,18 “	1445 „
3) średzki	12,14 „	678 „
4) śremski	8,62 „	994 „
5 pozn. wschodni	9,49 „	122 „
6) „ zachodni	10,97 „	309 „
7) obornicki	10,54 „	751 „
8) szamotulski	11,36 „	1608 „
9 międzychodzki	6,27 „	1696 „
10) skwierzyński	7.44 „	713 „
11) międzyrzecki	6,27 „	1658 „
12 nowotomyski	7,44 „	1569 „
13) grodziski	11,75 „	894 „
14) babimojski	7,44 „	4151 „
15) wschowski	11,36 „	290 „
16) śmigielski	10,97 „	2499 „
17) kościański	12,53 „	723 „
18) leszczyński	12,14 „	145 „
19) rawicki	13,71 „	2095 „
20) gostyński	12,92 „	1185 „
21) koźmiński	10,57 „	355 „
22) krotoszyński	10,97 „	685 „
23) pleszewski	10,18 „	248 „
24) ostrowski	9,79 „	1712 „
25) odolanowski	9,01 „	1999 „
26) ostrzeszowski	6,27 „	2388 „
27) kempinski	9,01 „	1988 „

b) w obwodzie rejencyi bydgoskiej.

1) bydg. wiejski	11,36 mk.	181 „
2) czarnkowski	8,62 „	2090 „
3) wieleński	5,87 „	3149 „
4) gnieźnieński	9,40 „	167 „
5) inowrocławski	17,23 „	181 „
6) chodzieski	7,44 „	1216 „
7) mogilnicki	10,18 „	89 „
8) szubiński	9,40 „	270 „
9) strzeliński	16,06 „	152 „
10) wyrzyski	10,18 „	229 „
11) witkowski	8,72 „	117 „
12) wągrowiecki	9,79 „	200 „
13) żniński	11,75 „	138 „

Z zestawienia tego dowiadujemy się więc, że np. powiaty *rawicki, gostyński i szamotulski wysokim* dochodem gruntowym dostarczyły znacznego kontyngentu wychodźców, podczas gdy z daleko uboższych powiatów, jak np. *skwierzyńskiego, śremskiego i witkowskiego* było wychodźców znacznie mniej. Uderza przytem, że w powiatach otaczających większe miasto z znaczniejszym przemysłem, jak np. w obu *poznańskich, bydgoskim, inowrocławskim i gnieźnieńskim* liczba *wychodźców* jest *bardzo szczupła.* Dowodzi to, że lud nasz, mogąc znaleźć lepszy zarobek w przemyśle w kraju, nie szuka kołaczy po świecie.

Autor oblicza, że wychodźcy nasi, a więc polscy przynoszą corocznie do naszej dzielnicy około 8 milionów marek. Pieniądze te, — pisze — lokują wyłącznie(?) w polskich kasach i spółkach, a gdy zbierze się z nich znaczniejsza kwota kupują za nią kawał ziemi. Oni też są najlepszymi odbiorcami polskich instytucyi i spółek parcelacyjnych. Dalej wyraża autor przekonanie, że *głównie to wychodźtwo czasowe przesuwa stosunek liczebny obu narodowości na korzyść Polaków,* a niekorzyść Niemców. Z wychodźców polskich wracają do kraju prawie wszyscy, z wychodźców Niemców wraca *bardzo mało.* Niemiec wychodźca czuje się i na zachodzie, jak u siebie w domu; znajduje miłe towarzystwo, w którem traci swój zarobek, bierze bowiem udział w liczniejszych tam niż w Księstwie zabawach ludowych. Ztąd mniej oszczędza, niema za co i po co wrócić „po sezonie“, gdy zaś przepędzi na zachodzie dwa lub trzy lata, tak się tam zaaklimatyzuje, że o powrocie wcale już nie myśli. Polaków natomiast Niemcy na zachodzie nie uważają za równych sobie, nie dopuszczają do swych zabaw. Podczas tedy, gdy Niemiec hula i dobrze się bawi, Polak żyje odosobniony, czuje się tam obcym i wskutek tego marzy jedynie o powrocie w ojczyste strony. Odmawia więc sobie wszystkiego, odwyka od wódki, ciuła grosz do grosza, aby jaknajrychlej mógł dopiąć wymarzonego celu, nabyć w ojczystych stronach chociaż mały kawałek ziemi. Braknie mu też tam na obczyźnie opieki, jaką w kraju otaczają go księża, adwokaci, lekarze itd. Jest on zaś — zdaniem autora — do tego stopnia *naturą niewolniczą,* iż bez takiej opieki czuje się niemal bezradnym. (!!)

Wróciwszy do ojczyzny i nabywszy kawał ziemi, Polak osadza na niej swą rodzinę i znów wychodzi po nowy zarobek na zachód. Ziemi pragnie na razie tylko tyle, ile potrzeba mu na *„ziemniaki dla rodziny lub na utrzymanie krowy.“* I podczas gdy np. niemieccy włościanie w Księstwie przy dzisiejszem trudnem położeniu rolnictwa z braku gotówki nie mogą się utrzymać przy ziemi i sprzedają ją Polakom, taki polski wy- i sprzedają ją Polakom, taki polski wychodźca, przywożąc coraz nowe gotówkowe zasoby dorabia się coraz bardziej. Ze straty w ziemi, jaką Niemcy w Księstwie ponieśli podobno w latach 1897

do 1899, conajmniej 60 pr. kładzie autor *na karb tego wychodźtwa polskiego.*

Autor, zestawiając to wszystko, nie wysnuwa z tego żadnych rad i wskazówek np. pod adresem rządu. Czuć atoli można z każdego wiersza, jak go to boli, że Polacy dorabiają się rzekomo *„niemieckim groszem“*, i że pragnąłby nakłonić rodaków swych na zachodzie, ażeby nie zatrudniali wychodźców polskich. Wie on atoli również dobrze, że odnośnej *otwartej* rady Niemcy na zachodzie i takby *nie usłuchali*, gdyż sprzeciwiaoby się to ich *własnym materyalnym interesom.*

Z kilkunastu tabel statystycznych, jakiemi autor illustruje swą rzecz o wychodztwie czasowem, warto jeszcze przytoczyć następujące wyjątki:

Według obliczeń władz rządowych wykazały *wychodźców:*

a) w obwodzie rejencyi poznańskiej.

powiaty:	w r. 1891.	w r. 1895.	w r. 1898
1. odolanowski	4884	1395	824
2. międzychodzki	1382	1717	2030
3. babimojski	4722	3039	4492
4. wschowski	262	278	325
5. gostyński	1305	1235	1441
6. grodziski	811	650	968
7. jarociński	1679	1389	1827
8. kępiński	2578	1744	1108
9. koźmiński	505	353	299
10. kościański	715	563	769
11. krotoszyński	824	409	741
12. leszczyński	177	137	220
13. międzyrzecki	1548	1324	1653
14. nowotomyski	1677	1539	1560
15. obornicki	1309	293	827
16. ostrowski	1935	1827	1567
17. pleszewski	498	244	395
18. pozn. wschodni	250	67	122
19. „ zachodni	234	304	422
20. rawicki	1067	2186	2082
21. szamotulski	1214	2095	1979
22. ostrzeszowski	2480	2565	2357
23. śmigielski	2451	2377	2909
24. śremski	959	826	1432
25. średzki	1166	499	595
26. skwierzyński	1046	570	625
27. wrzesiński	477	278	278

b) w obwodzie rejencyi bydgoskiej.

mandaty:	w r. 1891	w r. 1895	w r. 1898
1. bydgoski wiejski:	419	132	136
2. czarnkowski:	2164	1807	2551
3. wieleński:	2824	2794	3106
4. gnieźnieński:	244	19*)	199
5. inowrocławski:	861	31	21*)
6. chodzieski:	1626	939	1039
7. mogilnicki:	282	13 (13)*)	6*)
8. szubinski:	711	67	254
9. strzeliński:	676	27	34
10. wyrzyski:	547	46	48
11. witkowski:	408	17	152
12. wągrowiecki:	451	56	36*)
13. żniński	642	1 (1)*)	76

Przy liczbach, opatrzonych gwiazdką nadmienia autor, że oznaczają one jedynie wychodźtwo *stałe,* a nie czasowe.

Co się tyczy wychodźtwa młodzieży niżej lat 20 to najwięcej opuszcza powiaty *wieleński, czarnkowski, międzychodzki, babimojski, śmigielski, odalanowski, kempiński, ostrzeszowski i ostrowski,* bo od 38 do 77 procent czyli połowa aż do 2/3 ogólnej liczby. Iluż z niej ginie na obczyźnie, ile marnieje — pod względem narodowym i moralnym?

Czujny.

***

Z TYGODNIA.

Po tak długiej ziemskiej pielgrzymce, o której wraz z pismem świętem powiedzieć można, że była „pracą a trudem,“ *Leon XIII* spoczął nareszcie w grobie. Ceremonie pogrzebowe odbyły się w sobotę dnia 25 lipca. Mrok nocny zapadał już nad „Wiecznem miastem,“ gdy w jarzącym się od światła elektrycznego kościele św. Piotra oddano zmarłemu Papieżowi ostatnią przysługę. Właściwie nie ostatnią jeszcze. Ciało Leona XIII nie pozostanie w bazylice Piotrowej, spoczywać w niej będzie, w kaplicy del coro, gdzie je w sobotę złożono, tylko tak długo, dopóki nie zostanie wykończony grób w jednym z pozawatykańskich kościołów rzymskich, który Leon XIII jeszcze za życia obrał sobie na miejsce wiecznego spoczynku. Lecz późniejsze przeniesienie zwłok na to miejsce będzie już tylko aktem dopełnienia ostatniej woli zmarłego. Rzeczywisty *pogrzeb* odbył się w sobotę wśród wstrząsających do głębi obrządków. Wzięło w nim udział zebrane w Rzymie kolegium kardynalskie, ciało dyplomatyczne przy Watykanie i całe wyższe duchowieństwo watykańskie. Z publiczności dla uniknienia natłoku dopuszczono tylko kilka tysięcy osób za biletami. Ziemskie szczątki wielkiego papieża włożono najprzód, po pobłogosławieniu i pokropieniu wodą święconą do trumny drewnianej, cedrowej, w której umieszczono także trzy sakwy z tylu złotemi, srebrnemi i miedzianemi medalami, ile lat liczył jego pontyfikat, oraz kapsułkę ołowianą z jego życiorysem spisanym na pergaminie. Tę trumnę po zamknięciu opieczętowano, poczem wpuszczono ją do trumny ołowianej, którą szczelnie zalutowano, a tę zaś znów do trumny drewnianej z pięknie malowanym herbem zmarłego na wieku. Wśród tych czynności, które zajęły blisko dwie godziny czasu, chór katedry św. Piotra śpiewał psalmy pokutne a publiczność modliła się półgłosem. Głucho i ponuro biły dzwony bazyliki, gdy następnie trumnę z zwłokami wsunięto do niszy w murze kaplicy, poprzednio już na ten cel przygotowanej. I podczas gdy zręczni murarze szybko zamykali niszę cegłą i wapnem — publiczność zwolna opuszczała kościół, unosząc z sobą wrażenie, że uczestniczyła w ostatnim akcie jednej z najświetniejszych epok w dziełach chrześciaństwa i Kościoła katolickiego.

Życie ma swoje prawa, chwilę płacze nad grobem, potem dalej kroczy rączo w tajemniczą przyszłość. Po żałobnych obrządkach nad trumną Leona XIII — uwaga całego świata zwraca się już wyłącznie ku bliskiemu „conclawe“. Pozostałych przy życiu więcej zwykle interesuje pytanie: „co będzie“ — niż: „co było?“ Łatwo zaś być może, że w chwili, gdy numer niniejszy dojdzie do rąk Czytelników, w całym świecie katolickim już się rozlegać będzie radosne *„habemus papam!“* — „mamy nowego Papieża.“ „Conklawe“ rozpocznie się bowiem już w piątek dnia 31 lipca — a długo zapewne nie potrwa. „Dobrze poinformowani“ przepowiadają, że proklamacya nowego papieża nastąpi *najpóźniej* w trzecim dniu conclawe. Kto nim będzie — to kwestya, nad którą łamie dziś sobie głowę cały świat polityczny. Wśród kandydatów, jakich wymieniają dzienniki rzymskie, najczęściej napotyka się nazwiska kardynałów *Oreglii, Rampolli, Gottiego,* Serafina *Vanutellego i Swampy.* Lecz łatwo być może, że z urny wyborczej wyjdzie nazwisko, którego dziś nikt nie wymienia. W poza kościelnym świecie politycznym najwięcej przeciwników ma kardynał *Rampolla.* Przeciwko jego ewentualnemu wyborowi agitują zarówno *Niemcy* jak i *Francya.* Niemcy posądzają go, że zanadto sprzyja Francyi, Francuzi, że jest zbyt wielkim przyjacielem Niemców. Kto ma słuszność, to stwierdzić trudno. My, Polacy, nie możemy wywierać żadnego wpływu na przebieg wyborów, możemy tylko zanosić modły przed tron Boga, aby zrządził wybór jaknajlepszy dla Kościoła i ludzkości; lecz, kto wie, czy właśnie nie dla tego — wybór będzie *i dla nas* najpo*myślniejszym!*

Niemały kłopot sprawia podobno *św. Kolegium sprawa koronacyi nowowybranego.* Większa część kardynałów, to mężowie w bardzo podeszłym wieku, nie wytrzymali już na trudy, a tu w Rzymie panują obecnie niesłychane upały. Kto zna zaś ceremonie koronacyjne w Watykanie, wie, ile trudu nakładają na uczestników. Powstała więc podobno myśl, ażeby w celu oszczędzenia kardynałom dłuższego pobytu w Rzymie, odbyto koronacyą natychmiast po wyborze, albo też, aby ją odłożono do chłodniejszej jesieni.

Gdyby nie sprawa wyboru nowego Papieża, niewieleby dziś było do zapi-

sania w naszej kronice tygodniowej. Zdaje się, jakoby wobec ogromnie ważnej dla całej ludzkości zmiany na Stolicy Piotrowej, ogarnęło wszystkie narody jakieś odrętwienie, absorbujące całą ich uwagę oczekiwanie. Wszędzie bowiem zapanował *spokój i cisza.* Przesilenie gabinetowe, jakie powstało w *Hiszpanii*, załatwiono nadspodziewanie szybko i gładko; niebezpieczeństwo wojny między *Turcyą a Bułgaryą* do tego stopnia zażegnane, że książę bułgarski *Ferdynand* opuścić już mógł kraj swój, aby u wód czeskich pokrzepić swoje zdrowie. Wprawdzie z *Serbii* rozpuszczono pogłoskę, że wyjazd jego — to ucieczka przed grożącem mu sprzysiężeniem wojskowem — lecz pogłaska ta okazała się rychło jako zupełnie bezpodstawna. Nawet z *Azyi wschodniej* nadchodzą znów wieści brzmiące bardziej pokojowo. Wieści te zapewniają, że naprężenie stosunków między *Japonią a Rosyą* nie jest tego rodzaju, iżby koniecznie do wojny doprowadzić miało. W *Austryi* panuje względny spokój, bo parlament odpoczywa na przymusowych wakacyach, *Dr. Koerber* ma więc wolną rękę i rządzi swobodnie na podstawie § 14 konstytucyi, który daje tam rządowi absolutną niemal władzę. O ile ten paragraf wyjdzie na dobre *rodakom naszym w Galicyi, ciężko dotkniętym niebywałą klęską powodzi* — a przeto potrzebującym *szybkiej pomocy rządowej*, to już najbliższe dni pokażą. Nawet obstrukcya na Węgrzech stała się czysto *techniczną i nudną* i nie budzi po za granicami Austro-Węgier większego zainteresowania. Można zresztą już przewidzieć z całą pewnością, że Madziarzy postawią na swojem, że ich stosunek do Austryi bardziej się jeszcze rozluźni; kiedy to więc nastąpi, to dla innych państw jest już rzeczą mniejszej wagi.

Potrąciwszy powyżej o *powodzie*, korzystamy z tego, aby stwierdzić, że w *Prusach* rzekoma *„wielkopolska agitacya“* jednak się jeszcze na coś Polakom przyda i może nawet pod względem *materyalnym*. Przekonała się o tem teraz mianowicie ludność *śląska*. Ucierpiała ona z powodu powodzi także w poprzednich latach i głośno wołała o pomoc rządową. Ale napróżno! Spisano wprawdzie z pruską dokładnością wszelkie jej straty, lecz dano jej tylko tyle, iż zakrawało to chyba tylko na jałmużnę. Otóż zanosiło się na to, że i wobec tegorocznej znacznie większej klęski stanie się tak samo. Władze zaczęły zachęcać *ogół* do składek na rzecz powodzian, i zdawało się, że poprzestaną na tej zachęcie, lub co najwyżej, na zmuszaniu *gmin* do ponoszenia zapomóg. Tymczasem uderzyła na gwałt *prasa hakatystyczna i liberalna.*

Jakto? — pisała — czy rząd nie wie, że na Śląsku szaleje strasznie niebezpieczna *„agitacya wielkopolska,“* czy rząd pragnie, aby do obozu radykalno polskiego przeszła także reszta ludności polskiej, która trzyma się na uboczu dotychczas? A uczyni to ona napewno, jeżeli jej rząd i tym razem nie okaże „ojcowskiego serca“ i hojniejszej dłoni. Ministrowie w Berlinie mimo to jeszcze się namyślali, tymczasem nadeszła od kanclerza Bülowa z Norderney depesza, aby uczyniono dla powodzian, co tylko możliwe. Hr. *Bülow* jak wiadomo, bardzo się boi polskich *„królików.“* Więc pod presyą tej depeszy, a raczej pod grozą *„wielkopolskiej agitacyi“ uchwalono w Berlinie przeznaczyć na wsparcie dla powodzian śląskich aż 10 milionów marek.*

Co z tego wynika? Oto tylko to, że gdyby ludność polska siedziała cicho i nie upominała się o swoje prawa, rząd aniby pytał o nią, gdy popadnie w materyalną biedę; a dalej, że *im głośniej kto woła, tem łatwiej coś upycha.* A więc *„facit:“ Niech lud górnośląski weźmie marki rządowe, a potem hurmem przejdzie do obozu polskiego.* Wówczas i coś więcej jeszcze osięgnie!

K. O.



Przegląd prasy.

Rozpisując się o zgasłym *Ojcu świętym* gazety polskie kładą przycisk na stosunek Jego do narodu polskiego. Pisma liberalne zgodnie przyznają, że „stosunek narodu naszego do Leona XIII nie był tak bezwzględnie serdecznym jak do Piusa IX,“ bo jak zauważa „Nowa Reforma“:

> „Z czynów i słów Piusa biła dla nas szczerość i otwartość, w czynach i słowach Leona wiele było, może za wiele dyplomacyi.“

I tak *„Nowa Reforma“* podnosi, że świetne rezultaty swej polityki okupił Leon XIII znacznemi ustępstwami na polu wpływów narodowych Kościoła.

> „W zaborze rosyjskim zgodził się na ostateczne usunięcie biskupów-męczenników Felińskiego, Krasińskiego, Rzewuskiego, później także Hryniewieckiego; milczeniem *na zewnątrz* zbywał skargi na los Unitów, przystał także na takie okrojenie narodowo-obywatelskich praw duchowieństwa, że o jakiejkolwiek ich jawnej działalności w tym kierunku nie mogło już być mowy.“
>
> W zaborze pruskim celem dojścia do pokoju z rządem przyznał mu w polskich dzielnicach wyjątkowe prawo „veto“ przy obsadzaniu probostw, z którego rząd korzysta, aby nie dopuszczać na lepsze probostwa kapłanów narodowo usposobionych. A arcybiskup gnieźnieńsko-poznański *nie* „doznawał należytego poparcia w Rzymie, gdy w grę wchodziły sprawy narodowe.“

Nawięzując do tego artykułu *„Dzien. Berl.“* wyraża życzenie:

> „Oby następca jego w najbliżej nas dzisiaj obchodzącej dziedzinie nauki religii, którą system pruski dzięki dotychczasowej uległości władzy duchownej uważa za najwłaściwszy teren do robienia eksperymentów germanizacyjnych, w której, zdaniem jego, nawet Kościół nie ma prawa mu przeszkadzać, zajął stanowisko nie dyplomatyzujące, ale zasadnicze.
>
> „Wszak Chrystus stworzył swoje wielkie dzieło nie tyle dla możnych tego świata, ile dla prześladowanych, upośledzonych, biednych i maluczkich!“

Wogóle, pominąwszy sprawy watykańskie, zapanował w prasie pewien spokój — sezon ogórkowy — który wszakże zakłócają poważnie przygnębiające wieści o *nabytkach komisyi kolonizacyjnej. „Pos. Neueste Nachr.“* podnoszą, że komisya w ostatnich czasach nabyła ogromne szmaty ziemi, które wynoszą *ogółem około 100 tys. morgów.* Przeważnie włości te wyszły z rąk niemieckich, ale są między niemi także polskie majątki jak Pakosław, Małe Sokolniki, Turostowo i t. d.

„Bromb. Tgbl.“ zaś zaznacza, że w ostatnich miesiącach komisya nabyła w obwodzie *bydgoskim 3000 morgów.*

> „Po wykupieniu nasamprzód kilku mniejszych folwarków z rąk niemieckich w Witołdowie, Morzewicach, Wojnowie, Lucimiu, Buszkowie i w innych miejscowościach, wdrożyła komisya kolonizacyjna pertraktacye z polskimi właścicielami większych folwarków na ich wniosek i ukończyła je z zadawalniającym skutkiem. Tak sprzedali komisyi kolonizacyjnej Br. *Frydrychowicz* swój majątek w Wilczu, obejmujący 1600 mórg; H. *Manthey*, znany patryota polski, swój majątek w Gogolince; Karol *Hoppe*, Polak w Buszkowie, folwark obejmujący 700 mórg.“

A ponieważ w gazetach pojawiają się coraz to nowe pogłoski o rokowaniach polskich rolników z komisyą, ogół w najwyższym stopniu rozgoryczony na niecnych sprzedawczyków, oburzony i przerażony domaga się — jak pisze *„Kur. Pozn.“* — *pręgierza dla kolonizatorów sprzedawczyków.*

> „Jeżeli — pisze „Kuryer“ tak straszne dla społeczeństwa z frymarki ziemią ojczystą spadają klęski, to prawo natury upoważnia społeczeństwo, aby

chwyciło się skutecznych środków usunięcia ruiny i zguby.

„W wiekach średnich organizmy społeczne stawiały pod pręgierz widomy na rynkach publicznych tych, którzy dobru i bezpieczeństwu społeczeństwa zagrażali swem zbrodniczem postępowaniem — dzisiaj — w czasach przewagi duchowej walki i używania oręża moralnego — społeczeństwo, zagrożone przez wyrodnych członków w swym bycie, ma prawo pod pręgierz opinii publicznej w organach swych stawiać nazwiska nowoczesnych zbrodniarzy w tym celu, aby ich ludność jako duchowo trędowatych omijała, strzegła się zarażenia od nich i popełniania podobnych występków.“

A dotychczasowym wyrazem opinii zdrowej części społeczeństwa były jedynie gazety — opinii, z której ludzie o wytartych czołach niemal sobie drwili, bo (jak zauważył przyjaciel naszego pisma: Ustronny(w kołach towarzyskich patrzono na ich frymarkę przez palce. W tym samym duchu, co „Ustronny“ przemawia pewien obywatel „*Dzien. Pozn.*“

„Jeżeli prawda, o czem swego czasu donosiły dzienniki, że pewien pan po kilkokrotnem dokonaniu frymarki ziemią ojczystą bawił się jeszcze wesoło w kółku towarzyskiem bazarowem w Poznaniu, to zaiste nie wiedzieć, co więcej podziwiać, czy czelność i zuchwałość owego pana, czy też pobłażliwość towarzyszów kółka. Społeczeństwo bowiem musi sobie raz jasno zdać z tego sprawę, że frymarka ziemią ojczystą, wydawanie jej w ręce największych wrogów naszych, jest uczynkiem pociągającym za sobą infamię, uczynkiem, równającym się największej zbrodni, na który odpowiedzią ze strony zdrowego społeczeństwa powinna być — bezwzględna wzgarda.“

W „*Dzien. Berl.*“ patryotyczna „Wielkopolanka“ przemawia z szlachetnem oburzeniem.

„Jeśli ze wstrętem czytamy nazwiska zdrajców z epoki porozbiorowej, gdzie wskutek ogólnej bezradności, rozluźnienia obyczajów i braku prawdziwej miłości ojczyzny obce złoto łagodziło wyrzuty sumienia, budzącego się po dokonanym fakcie, pytam się, jakiem prawem rozgrzeszymy w naszej obecnej niedoli wszystkie nowoczesne zdrady?

„Rozbudziwszy miłość ojczyzny do niebywałej potęgi, usiłowaliśmy ofiarami z krwi i mienia winę ojców zmazać, opuszczając zagrody rodzinne szliśmy na pola bitew, przykuci do taczek, gniliśmy w kazamatach, całemi szeregami szliśmy szubienicom na żer, rozsialiśmy kości nasze dla chwały Ojczyzny po całej Europie? — dla czegoż dzisiaj w gnuśnem zostajemy upojeniu?“

Tak jak niegdyś wieszano zdrajców ojczyzny, chcą „Wielkopolanki“ zawiesić na wierzbie „*księgę hańby narodowej*“ a „*Dzien. Berl.*“ nadmienia:

„Projekt ułożenia „Czarnej księgi polskich kolonizatorów“, w przeciwstawieniu do znanej „Złotej księgi szlachty polskiej“, już od dawna zajmuje nas i koła ściślejszych naszych przyjaciół; materyały do tego zaczęliśmy już gromadzić i sądzimy, że może uda nam się w bliskim już czasie przykremu, lecz z stanowiska narodowego zupełnie uprawnionemu życzeniu zacnej Wielkopolanki uczynić zadość.“

Do tych głosów opinii dorzuca „*Orędownik*“:

„iż jedynym czynnikiem starającym się przeciwdziałać haniebnemu frymarczeniu ziemią ojczystą, była prasa polska i jest nim jeszcze, gdyż wszelkie środki, dążące do wykorzenienia złego, tylko przez nią do wiadomości szerszych kół przedostać się mogą. Dotychczasowe przestrogi prasy okazywały się bezskutecznemi. — Nie tylko nie zdołały one powstrzymać wyrodków od hańbiących czynów, ale nawet ściągnęły na prasę szereg procesów, gdyż pomiędzy ludźmi wyzutymi ze czci i wiary zawsze znajdą się tacy, którym nie dość hańby za jeden uczynek, lecz zdradę swą przez włóczenie po sądach dobitniej jeszcze udowodnić pragną i wykazać do jakiego stopnia nikczemności upaść można. *Takich wytartych charakterów unikać trzeba jak zarazy, a czy to w towarzystwie, czy też na ulicy omijać ich z daleka.* To dziś jedyny środek walki przeciwko żywiołom, o których czelność wszelkie inne sposoby i napomnienia odbijają się jak groch o ścianę. Piętnować należy nie tylko zdrajców, ale tych wszystkich, którzy nie wstydzą się im ręk podawać. Wtedy dopiero prasa — poparta czynnie przez publiczność — coś zdziałać będzie mogła.“

Frymarka ziemią ojczystą — to najsmutniejsza karta współczesnych dziejów naszej dzielnicy. Nigdy zatem ogół nasz nie zajmuje się tą sprawą zawiele. Dotychczas nawet zajmował się nią — zamało. Dlatego to opinia nie wywarła dotąd należytego wpływu ani na Kółko bazarowe ale, wogóle na koła towarzyskie. Miejmy nadzieję, że społeczeństwo potrafi napiętnować stygmatem hańby sprzedawczyków na wsze czasy.

Tymczasem „*Goniec Wielkopolski*“ donosi, że

„pan Nepomucen Kierski z całą energią rozpoczął walkę z redaktorami gazet polskich jakoby w obronie „honoru swego, familii i szczerych przyjaciół“, w obronie honoru rzekomo niewinnie shańbionego mianem agenta komisyi kolonizacyjnej. Wczoraj miał p. Kierski dzięki energii swej aż 8, wyraźnie osiem terminów przed sędziami polubownymi przeciw redaktorom pism, które swego czasu opisywały jego stosunek do komisyi kolonizacyjnej. Pomimo wysiłków sędziego polubownego celem pogodzenia stron i propozycyi warunków, pan Kierski ani słuchać nie chciał, jeno skarży dalej naszego redaktora o „obrazę honoru!“

W innym numerze ostrzega „Goniec“ przed niejakim panem *Powidzkiem* z Wrocławia, synem lekarza ze Śremu, który ma zamiar kupić majątek polski w Pr. Zachodnich, i ostrzega — nie bez dobroci racyi.

Przeciwko *listowi pasterskiemu* albo raczej antipolskiemu ks. kard. *Koppa* zaprotestowali także *Polacy we Wrocławiu* na wiecu w zeszłą niedzielę i uchwalili dwie rezolucye, podobne do uchwalonych gdzieindziej, w których między innemi czytamy:

„W wystąpieniu X. kardynała Koppa widoczną była chęć wywarcia wpływu na bieg spraw wyborczych. Widzimy w wystąpieniu tem dążność do podkopania znaczenia bytu materyalnego prasy polskiej, oraz chęć przeciwdziałania rosnącej ciągle wśród ludu polskiego świadomości narodowej i obywatelskiej, a popierania germanizacyi przez Kościół.

„Ponieważ list pasterski X. kardynała daje księżom prawo odsądzania tej lub owej gazety od zasad szczerze katolickich, przeciw pismom polskim w dyecezyi, ale i przeciwko wszystkim innym, podniecając jednocześnie księży germanizatorów do bojkotowania całej prasy polskiej, przeto z powodów wyżej wymienionych wobec listu X. kardynała obojętnymi pozostać nie możemy. W poczuciu naszej niewinności z całą sumiennością odeprzeć możemy zarzut wykroczenia przeciwko Kościołowi lub naszemu Pasterzowi, a tem samem nie możemy się ulęknąć groźby pozbawienia nas w przyszłości pociech religijnych za to, że nie przestaniemy czytywać narodowych pism polskich, które przez najwyższą władzę kościelną, Ojca św. w Rzymie, za wrogie uznane nie zostały.“

Tymczasem księża germanizatorzy na G. Ślązku wyzyskują list pasterski do swych celów politycznych i rzeczywiście — (czegoby nikt nie uważał za możebne i prawdopodobne) *odmawiają rozgrzeszenia* Czytelnikom gazet polskich jak „Górnoślązak,“ „Głos Śląski“ i t. d. Wobec tego „*Górnoślązak*“ pisze między innemi spokojnym bardzo tonem:

„Jeżeli te przepisy prawa kościelnego porównamy z postępowaniem ks. kardynała Koppa i księży górnośląskich, przychodzimy do wniosku, że ani ks. kardynał nie postąpił sobie z nami jak prawo kościelne przepisuje, ani też księża nasi nie mają najmniejszego prawa do wykluczania swych parafian od Sakramentów św. Ks. kardynał ani razu nas nie zawezwał, abyśmy przestali podkopywać w naszych czytelnikach wiarę św. — czego, nawiasem mówiąc, nigdyśmy nie czynili — ani też nie zawezwał nas na żaden sąd przed siebie, abyśmy się mogli bronić przed zarzutami, przez księży nam poczynionemi, ani nas też wreszcie nie ekskomunikował. Nie rozumiemy więc, tak ten książe Kościoła mógł nas w swym

liście pasterskim odsądzić od czci i wiary. Jeżeli to chciał zrobić, był powinien trzymać się drogi przez prawo kościelne przepisanej, a nie samowładnie w liście pasterskim nas zwalczać. Dlatego też utrzymujemy ponownie, że *za wielkie nadużycie* władzy biskupiej uważać musimy zwrot w jego liście pasterskim, dający księżom nie tylko prawo, ale nawet obowiązek odmawiać wiernym dopóty błogosławieństw i łask Kościoła, dopóki nie usuną z domów swych gazet naszych."

Niespodzianie dał znak życia znany tu od czasu wyborów wróg Polaków w sutanie — *ks. Tasch.* Późno odezwał się, ale za to wystąpił z taką butą w swej obronie, jakby odwagą chciał zaimponować i wywieść w pole Czytelników polskich, a u hakatystów krzyżackich nabyć wojowniczości. Słusznie dziwi się pewien korespondent *„Dzien. Pozn.,"* że *ks. Tasch* przemawia tak,

„jak gdybyśmy *byli obowiązani wysłuchać wszystkiego*, jakby nie było granic, których przekroczyć nie wolno, jeśli chce się nosić miano kapłana.

„Ks. Tasch dziwić się zapewne nie będzie, że na zarzuty i obelgi posypią się odpowiedzi w tym samym tonie. *U ks. Tascha wszystko jest kłamstwem, wszystko niegodziwością*, on sam tylko prawdą i zacnością."

Nieprawdą jest według ks. Tascha, że istniał w okręgu wschowsko - leszczyńskim kompromis pomiędzy Polakami a centrowcami, „kłamstwem i *podłem oszczerstwem* (sic!) jest, że sam się postawił na kandydata, „kłamstwem i oszczerstwem," że nakłonił komitet centrowy do odrzucenia proponowanego przez polski komitet kompromisu i t. d.

Wobec faktu, że katolicy niemieccy w tym okręgu przy ściślejszych wyborach głosowali na ewangielika-ugodowca i przeprowadzili go — ks. Tasch, nie mając o tem nic do powiedzenia na obronę centrowców, *powinien był milczeć.* Nic bowiem tego faktu nie zatrze. Dziwić się można, że korespondent z wschowskiego, zaczepiony przez ks. Tascha, w swej zresztą przekonywującej odprawie nie napiętnował krzyżackiej buty i bezczelności niefortunnego kandydata centrowego. W swej odprawie pisze tenże korespondent między innemi:

„Czy kłamstwem jest też to, że robotnik G. (mogę służyć nazwiskiem) idąc na wybory, pytany i a kogo głos oddał, odpowiedział, że chociaż od ks. Tascha dostał 1 markę, to głos odda na ks. Mojżykiewicza, bo jest Polakiem.

„Czy i to jest kłamstwem i oszczerstwem, że robotnik polski, który zbierał adresy swych kolegów w Lesznie, zosta zawezwany przez ks. Tascha do siebie, że ks. Tasch wymógł od niego listę, na której sobie adresy ponotował, dał mu 50 fen., i że potem robotnik ten (nie wiadomo na czyją denuncyacyę) miał termin na policyi?

„Może wreszcie i to jest kłamstwem i oszczerstwem, że ks. Tasch, zbierając składki w bramie kościelnej, zaczepiał wiernych i konferował o wyborach?

„Teraz dopiero — czytamy w tej odprawie — odsłonili katolicy niemieccy przez ks. Tascha swój właściwy charakter! Rzecz się więc ma tak: Niemcy katolicy chcieli zawrzeć kompromis, *nas tym kompromisem związać na przyszłość, a swoją drogą głosować na Schmidta i byłby Schmidt tak samo przeszedł,* jak przeszedł teraz i Niemcy katolicy z ks. Taschem na czele byliby tak samo umywali ręce i twierdzili: „my niewinni!" Wiedzieli oni, że Polacy nie byliby zaprzeczyli potem istnienia kompromisu, tak jak to oni zrobili, chcieli więc korzystać z propozycyi i swoją drogą wysłać Schmidta do parlamentu, a swoją drogą zapewnić sobie głosy polskie przy przyszłych wyborach. Że zaś Polacy, *pouczeni doświadczeniem byli ostrożni, i sztuka się nie udała, więc złość, więc rzucanie kłamstwami, oszczerstwami, podłością i t. p. karczemnemi wyrazami."*

Po tem chyba odechce się Polakom kompromisów z centrowcami raz na zawsze! A *ks. Tasch* pozostanie przykładem odstraszającym nas od tego. Zresztą znamy centrowych „przyjaciół" już aż nadto dobrze, aby nie wiedzieć, iż mamy w nich wrogów, z którymi nie ma porozumienia lecz — walka.

„Goniec Wielkopolski," pisząc o wystąpieniu ks. Tascha, wysnuwa takie przypuszczenia na przysłość:

„Odpowiedzi na wprost haniebne i potworne zarzuty, które stara się ks. dziekan Tasch rzucić na Polaków, zapewne i jemu, jako też i stronnictwu centrum, które się teraz po wyborach w prawdziwej wilczej postaci pokazuje, *społeczeństwo polskie przy przyszłych wyborach nie poskąpi*, a owocem tych intryg i knowań iście krzyżackich będzie to, że centrum utraci nie jak przy tegorocznych wyborach 4, ale może 8 i 10 mandatów, o tem niechaj będzie ks. Tasch przekonanym.

„Ubliżylibyśmy godności naszej, gdybyśmy przy przyszłych wyborach w okręgu wschowsko-leszczyńskim dopuścili centrowca do mandatu i dlatego wywody ks. dziekana Tascha chybiły celu. Trafił jak kulą w płot, — powie Polak, jego właśni „landsmani" mają na podobne postępowanie dość trafne określenie, które brzmi bardzo poetycznie „Gut gebrült Löwe!"

Według świeżo ogłoszonych cyfr w „Reichsanzeigerze" przy ostatnich wyborach padło *103,656 polskich* głosów więcej aniżeli w r. 1898.

Na polskich kandydatów oddano razem głosów: 347,784.

Dzielnie się spisał lud polski!

Red.

Głosy od Przyjaciół.

Jantkowo (Kujawy) 19 lipca 1903.

Nasze Towarzystwo robotników urządziło dnia 11-go b. m. wycieczkę do Poznania gdzie stanęliśmy o trzeciej po południu.

Najpierw zwiedziliśmy redakcyę i wydawnictwo „Pracy" i pragniemy Wam kochani członkowie dać choć krótki opis naszych wrażeń. Wydawnictwo „Pracy" mieści się w gmachu okazałym. Z przodu od ulicy Rycerskiej nie imponuje tak wielką okazałością, lecz kiedy się wejdzie do wnętrza można dopiero zobaczyć jakie to wielkie przedsiębiorstwo. Jeden z panów redaktorów pokazał nam bibliotekę, redakcyę i drukarnią „Pracy." Kto nie widział takiego urządzenia ten nie może mieć żadnego wyobrażeni co taka książka lub gazeta kosztuje pracy i nakładu, zanim dostanie się do rąk Czytelnika. — Nie mogliśmy dokładnie obejrzeć całego urządzenia tej maszyneryi, ponieważ, była to sobota po południu, więc maszyny już stały. — Widzieliśmy tylko maszyny do składania czcionek czyli t. zw. linotypie, pędzone siłą elektryczną, a tak sztucznie urządzone, iż napatrzeć się nie można. — Jeden drukarz siedzi sobie przy takiej maszynie i ma na przyrządzie przypominającym fortepian, całe abecadło. Naciska on palcem na poszczególne litery, lub znaki pisarskie, które wpadają mechanicznym sposobem we walec tak długi jak wiersz w „Pracy" i układają się tu jeden obok drugiego. W pośrodku tej maszyny jest mały kocioł z roztopionym ołowiem. Skoro tych liter tyle spadnie w ten aparat, że wynoszą jeden wiersz, wtenczas się odlewają, (pokażemy nasze nazwiska odlane na ołowiu, któreśmy ze sobą zabrali na pamiątkę zwiedzenia redakcyi „Pracy,") na lisztewkach ołowianych, z których układa się łam „Pracy." Po odciśnieniu na ołowiu spada z góry rączka, unosi szereg liter i znaków i wsuwa je we walec, w którym litery te same rozkładają się mechanicznie tak, że „a" w pierwszy szkłem okryty przedziałek, „b" w drugi itd. się dostaje.

Z tych lisztewek układają się, jak już powiedziałem łamy „Pracy", a te odbijają się na półkulistych płytach czyli stereotypują. Tymi płytami zaś okrywa się dwa wielkie walce w maszynie drukarskiej t. zw. rotacyjnej, także elektrycznością pędzonej, która sama tnie papier, zadrukowuje go z obu stron, składa i wyrzuca całkiem gotowe arkusze.

Maszyna ta bardzo kosztowna

a zdumiewająca, drukuje w godzinie 8—10 tysięcy takich arkuszy. Potem trzeba składać działy „Pracy, dodawać okładkę i zeszywać numer. Prócz dwóch maszyn do składania naliczyliśmy w drukarni siedem różnych maszyn drukarskich a nadto mnóstwo ręcznych.

Następnie zwiedziliśmy *kościół św. Marcina*, który jest starym zabytkiem naszej wielkiej przeszłości. — Kiedyśmy weszli do wnętrza klęczało kilku ludzi z rozmaitych stanów i modliło się. Można sobie wyobrazić jaki ruch w takim kościele w dzień powszedni: raz wchodzi starszy jegomość na chwilę do kościoła, potem znowu jakaś kobiecina prowadząc za rękę małego chłopczyka wstąpi do kościoła, pomodli się trochę i idzie dalej. Dalej wchodzi jakaś poważna wiekiem pani, siada w ławkę i odmawia różaniec, to znowu jakaś młoda panienka modli się nabożnie ze złożonemi rękami. I tak przez cały czas, jakeśmy obserwowali, wciąż lud wchodził i wychodził i to rozmaity stanem i wiekiem, aby u Pana zastępów wyprosić sobie łaskę w dzisiejszych smutnych i trudnych dla nas czasach.

W niedzielę rano udaliśmy się przez most Chwaliszewski do *Tumu*. Tum czyli Katedra Poznańska jest to wspaniała świątynia, jednakowoż nierobi takiego wrażenia jak n. p. Katedra Gnieźnieńska. — Najważniejszym zabytkiem naszym są tutaj: Groby naszych królów *Bolesława Chrobrego i Mieczysława pierwszego w Złotej kaplicy*. Ach, jakie błogie rozrzewnienie ogarnia serce każdego prawego Polaka, gdy się spojrzy na te martwe posągi naszych królów — bohaterów i założycieli chrześcijaństwa w Polsce. — Mimowoli spojrzeliśmy po sobie; serca nasze zrozumiały się i łza zakręciła się nam w oku, gdyż te *posągi to świadectwo naszej wielkiej przeszłości. One przemawiają niejako do nas: „prochy nasze czują i cierpią razem z Wami*, my wyprosim Wam u Pana Zastępów, iż skończą się wnet te Wasze cierpienia. — Miejcie wiarę i nadzieję w lepszą przyszłość“

W tej chwili miałem przed oczyma potęgę naszej przeszłości! — Jaka wielka i ta prawdziwa cywilizacya panowała już w tej naszej Polsce kochanej, świadczą te wszystkie kościoły i klasztory, dziś niestety nam poodbierane. Jednakowoż czuliśmy się szczęśliwi w tym naszym grodzie Przemysława.

Na sumę udaliśmy się do kościoła Bożego Ciała. — Już od lat chłopięcych, gdy chodziłem na religię a dzisiejszy nasz czcigodny ks. Patron opowiadał nam historyę o trzech hostyach św., pragnąłem choć raz w życiu widzieć tę świątynię, fundowaną przez króla naszego Władysława Jagiełłę po bitwie pod Grunwaldem.

Dzisiejszy kościół „Bożego Ciała“ jest to piękna świątynia z ślicznem podniebieniem łukowem. Na bramie przed kościołem jest napis: „Tu nie jest nic innego tylko dom Boży i brama Niebieska.“ Na środku kościoła stoi mały ołtarzyk, na którym się pali mała wieczna lampka, po za tym ołtarzykiem jest źródełko, w którem podług podania mieli żydzi zatopić hostye. Na ołtarzu są złożone części stołu na którym były kłute św. Hostye, a pod ołtarzem znajdują się postacie trzech żydów, przypominające owo pamiętne zdarzenie. Szczątki tych Hostyi przechowują się w pięknej monstrancyi, która ma na spodzie herb Polski i Litwy i jest darem króla Władysława Jagiełły.

Po sumie zwiedziliśmy stary, piękny ratusz Poznański, z polskim orłem na szczycie wieży. Pierwotny ratusz był wzniesiony zapewne z kamienia, zaraz po roku 1253. Za czasów Zygmunta I. w r. 1508 rozebrano stary ratusz i wybudowano nowy, którego górną część zniszczył pożar w r. 1536. W r. 1675 wzniesiono inny ratusz i to tak piękny, że przybyli obcokrajowcy, aby go oglądać. W roku 1783 naprawiono ratusz za staraniem Kazimierza Raczyńskiego i ozdobiono go wieżą 214 stóp wysoką, którą dziś można podziwiać. W tym czasie też umieszczono na wieży orła polskiego, w którego włożono na pamiątkę polskie monety z r. 1783, cztery ewangelie, relikwie i łaciński opis budowy ratusza.

Dzisiaj Niemcy mają tę bezczelność, że nazywają ten ratusz „perłą *niemieckiej* (!!) sztuki budowlanej,“ chociaż żaden Niemiec z budową tą nic a nic nie miał wspólnego.

Obok ratusza stoi kamienny pręgierz, przed którym wystawiano przestępców prawa na widok publiczny. Czytałem, że został on zbudowany za pieniądz , które złożyły między innemi kucharki poznańskie za karę, że się za bardzo stroiły.

Jeszcze mieliśmy dużo do widzenia w Poznaniu, ale czas naglił i musieliśmy spieszyć do domu.

Władysław Marcinkowski.



Bitterfeld (Saksonia), dnia 20 lipca 1903.

Kochana „Praco“!

Oto znowu musimy się użalić w naszej kochanej „Pracy“, że policya rozwiązała nam bezprawnie wczoraj 19 lipca wiec nasz polski.

Pan Kunz zameldował w sobotę drugi wiec i to na popołudniu 5 i pół ale policya taką wiadomość nadesłała:

„To wczoraj zameldowane zebranie na dzień 19 lipca t. r. popołudniu 5 i pół w lokalu p. Falz'a w Miejscu *zakazujemy*.

„Wszystkie zebrania, przez Pana w tutejszem mieście urządzone, na których mówiono tylko po polsku a które zwiedzane były przez polską ludność, mogły według dotychczasowych doświadczeń podburzyć odnośne koła, zachwiać publiczny spokój, porządek i bezpieczeństwo!

Podpis nieczytelny.“

Przytem podpada nam, że ks. Schäfer powiedział iż p. Kunz nie ma tu ani słowa przemówić bo podburza spokojnych ludzi. (?) Gdyby on (Schäfer) się spodział, to p. K. ani jednego Wieca nie byłby zagaił w Bitterfeldzie. Trzeba więc go t. j. p. Kunza ztąd wygnać, bo to niebezpieczny człowiek.

Czy my tu na Sybirze żyjemy, aby jednemu było wolno, drugiemu nie wolno mówić? A po drugie — gdyby p. Kunz podburzał ludzi to prokuratorya pruska wytoczyłaby mu proces, lecz nie zrobi tego, bo p. K. mówi to, co wolno każdemu mówić.

Ale zakazywać nie ma prawa ani policya pruska ani tacy wysługiwacze prusofilscy w sukience kapłańskiej, jakich my tu posiadamy.

Germanizacya to jest ich święty można powiedzieć cel, bo publicznie się przyznali, „że obowiązkiem jest popieranie germanizacyi i dajtschlandu“

Ci nasi Krzyżacy nowocześni dziatwie naszej odbierają elementarze, aby się czasem nie popsuła (?). Gdy miała się odbyć zabawa ogrodowa która się odbędzie 26 lipca ks. Schäfer biegał tu i owdzie, by zapobiedz i przeszkodzić tej wycieczce, gdyż tam dzieci po polsku się bawią a to jest zgorszenie. (?)

Zakazuje on, aby dzieci w domu mówiły tym szkaradnym (?) językiem. Powinny modlić się tylko po niemiecku; według ks. Schäfera bowiem, Pan Bóg niemieckie modły lepiej przyjmuje. Polakom w Grypinie nałożono ciężkie kary za to że dzieci odmeldowano, choć stało się to dla ich choroby lub choroby matki.

Nie panowie germanizatorowie w sutanie nie zniemczycie nas. My Was uszanować już nie możemy — bo Pan Bóg stworzył zarówno język polski jak niemiecki, francuzki i w każdym wolno Go wielbić i chwalić! — A wy odważacie się ten skarb, tę mowę polską wydzierać nam z naszych serc

Toć to jest grzech, wołający o pomstę do Nieba. Przez takie traktowanie ludzi w socyalisty ich zamieniacie i wprost do piekła popychacie.

Wyście jeszcze gorsi od samego Bismarcka, bo ten nawet z taką zawziętością, z taką chytrością i *obłudą* nie pracował przeciw nam biednym tułaczom.

Nie rozumiem jak kapłan katolicki śmie mówić: tego człowieka trzeba ztąd wygnać? Trzeba go nawrócić jeżeli na złej znajduje się drodze a nie odpędzać od św. Sakramentów.

A czyż godzi się, aby kapłan nazywał publicznie ludzi zacnych i dzielnych łotrami, niedowiarkami, wyrzutkami a najwięcej na p. Kunza który ma podług ks. Schäfera „parszywy dziób" (Ranzigen Schnabel) Pytam się, czy to po chrześciańsku czy to po katolicku i czy to kapłanowi przystoi? Pan K. może zaskarżyć tych germanizatorów, ale szanuje o tyle suknie kapłańskie, że wolał się udać wpierw do Najw. ks. Biskupa w Paderbornie, ażeby suknia kapłańska nie wycierała ław sądu pruskiego.

Lecz jeżeli ks. Biskup nie da satysfakcyi, to napewno liczyć możemy, że do skargi przyjdzie, bo księża niemieccy gotowi by jeszcze gorzej wobec nas postępować.

Kto tak działa i pracuje jak ci Krzyżacy w sukni kapłańskiej, nie pracuje na korzyść Kościoła św. i Wiary naszej św.. ale pracuje czyli spina się do lepszej posady, aby jego pierś pruskimi była ozdobiona orderami. Ale my tem gorliwiej pracować będziemy aby ani jeden się nie zniemczył a dziatwę już od kolebki będziem uczyć, że są Polacy i będziemy im wspominać o naszej pięknej i wzniosłej historyi tak, że na pamięć znać będą Sobieskiego, który to Niemcy ratował pod Wiedniem, za co Niemcy w nagrodę ojczyznę naszą rozszarpali. Będziemy opowiadać o Kościuszce, który wszystkie kochał stany, i o innych bohaterach narodowych.

Gdy dziecko o tem się dowie nie będzie słuchać co ich prusofil w sutanie uczyć będzie o pruskiej historyi a gdy będzie prześladować nasz język i fałszować historyą, to dziecko zaprotestuje, choć w sercu, przeciw takiemu bezprawiu i takiemu gwałceniu kapłańskiego urzędu.

Wysłaliśmy na księży germanizatorów i agitatorów zażalenie do ks. Biskupa oraz petycyą z licznemi podpisami o polskiego duszpasterza.

Swój.



Derne (Westfalia), dnia 10 lipca 1903.

Pracując jako robotnik na obczyźnie już 13 lat, mogę Wam niejedno napisać o tutejszych stosunkach. Rozgoryczenie i nienawiść do centrowców tkwi w sercach ludu nie od dzisiaj, a przedewszystkiem do bezwzględnych centrowców w sukni duchownej, którzy w swej pracy germanizatorskiej prześcigają najwierniejszych urzędników pruskich. I ten kto zna nasz potulny lud polski przyzna z góry, że nie bez powodu rozgoryczenie to musiało się zrodzić w ludzie.

Lud polski w pierwszych latach nie tak licznie osiadły w Westfalii bardzo mało wymagał, lecz z napływem większej liczby, zaczął się słusznie domagać lepszej opieki duchownej w języku ojczystym, i to na drodze legalnej, najprzód odzywając się do miejscowych ks. ks. proboszczów, a potem piśmiennie i ustnie do ks. ks. biskupów. Nasze rozczarowanie było niemałe, bo ks. ks. proboszczowie nie tylko nas nie poparli, lecz okazali nam swoją złą wolę. O wielu rzeczach nie doszły wiadomości do pism.

I tak przed kilku laty Polacy i Polki w *Thale* pod Hartzem, prosili swego ks. proboszcza z Kwedlinburga o polskiego spowiednika. Na odmowę ks. uskarżył się przewodniczący w pewnem piśmie polskiem. Oburzony ks. kazał pewnej niedzieli po nabożeństwie wszystkim Polakom pozostać w kościele, wychodzi z zakrystyi uzbrojony *w gruby kij* na kościół i zaczyna Polakom wygrażać, a najbardziej przewodniczącemu mówiąc, że do niego mają przyjść do spowiedzi, a nie skargi zanosić do gazet. Nie koniec na tem, ks. poszedł do dyrektora fabryki, i nakłonił go, aby przewodniczącego Tow. polskiego jako niebezpiecznego agitatora, (który 8 lat tam pracował) *wydalił za dziesiątą granicę.*

Pracował on u nas później w *Derne* przez kilka miesięcy, a potem w „Union" w Dortmundzie. Ale i tu go prześladowano. Zapewne z poręki księdza uwiadomiono policyę w Dortmundzie i pewnego dnia zawezwano tego agitatora do biura fabryki, aby zbadać co to za „anarchista," lecz skoro im wszystko opowiedział, dyrektor rzekł do niego: idźcie i pracujcie dalej.

Coraz tu gorzej na obczyźnie; tu ks. powiada Polakom, że mają się uczyć po niemiecku od swych dzieci, tam znów, że jeżli umieją mówić „ja" i „nein" to już się mogą po niemiecku spowiadać, inny dobrodziej mówi: „kiedy umiecie po niemiecku kląć, to i spowiadać się musicie po niemiecku" inny twierdzi, że do naszych dzieci polskich *nie mamy prawa*, bo one tu urodzone i tu wychowane więc i tu pozostaną Niemcami!

W jednej osadzie trzech Polaków może podziękować księdzu, że ich wypędzono od pracy. W innem miejscu 1/3 parafian polskich prosiła ks. proboszcza, aby piąty kapelan był Polak, i to co dopiero wyświęcony i pobierający wsparcie z Swiętojózefacia, na które tu Rodacy się składają, ale ks. odpowiedział, że *Polacy są tylko jeszcze cierpiani w kościele.*

Nie dziw więc, że na takie obelgi lud zaczął głośno szemrać i domagać się od „Wiarusa", aby energicznie wystąpił przeciw duchownym germanizatorom, zanosząc zarazem skargi do władzy duchownej.

Lecz to nie pomogło. Więc rozgoryczeni Polacy powiedzieli sobie: kiedy nie przyznajecie nam słusznych praw w kościele, więc nie będziemy was wspierać przy wyborach, okażemy wam naszą niechęć przez to, że nie pójdziemy na centrowe zebrania wyborcze, gdzie nas będziecie chcieli jak po inne lata tłumnie wodzić, a nie pójdziemy chociaż by tam ks. ks. po polsku do nas przemawiali. *Nie chcecie nam głosić polskich kazań, to też nie chcemy słuchać polskich mów wyborczych.* Dalej okażemy wam niechęć, nie odbierając od was kartek centrowych wyborczych, które będziecie nam wciskać w dłonie, ani głosować nie będziemy na centrowca, na którego wy nas tak naganiacie.

Na tych to skargach i rozumowaniach ludu oparł główny komitet polski swoje warunki, a że trafiły do serc Rodaków to pokazało się 6-go czerwca.

Nie wzruszyła nas wcale znana odezwa pięciu ks. ks. misyonarzy Rodaków z Wielkopolski, i nie zachwieją nas te polskie gazety poznańskie, które się wyśmiewały, żeśmy pomięszali nasze warunki stawione centrowcom jak groch z kapustą.

Żaden z tych dzienników przed 13-tu laty nie pomyślał nawet, aby dać Polakom w Westfalii własną gazetę.

I gdzie tu ze strony tych dzienników uszanowanie woli ludu, o której się tak z lubością rozpisują?!

Organom wielkim się nie dziwię, ale ten ludowy „Orędownik." Przypominał on nam pobyt na obcej ziemi, na co tylko mu odpowiem, że z miłości bliźniego nikt nas tu nie zatrudnia, centrowego chleba także nie jemy, tylko ten ciężko zapracowany grosz u liberałów, a centrowcy pod płaszczykiem spólności wiary wyzyskują Polaków na różne swe cele. Chlebodawcy nas zatrudniają z niezbędnej potrzeby, a pozycyje nasze nie są do pozazdroszczenia.

Litował się też „Orędownik“ nad naszym zmysłem politycznym, ale proszę zauważyć, że my ludzie od pługa, a nie inteligentnicy. Zresztą nie sądzę, aby panowie politycy z Poznania mędrzej od nas postępować umieli w tych warunkach.

Niemiłosiernym okazał się też „Orędownik“ względem naszej odezwy wyborczej, i gdybyśmy nie mieli p. Wilkowskiego, to by niemiłosiernie nasza odezwa w koszu spoczęła. Nieszczęśliwa widocznie ta Westfalia, że na 250 tysięcy Polaków, „Orędownik“ tylko jednego uznał bez skazy, chociaż nawet Sodoma i Gomora miała ich przynajmniej czterech. Niepotrzebnie też „Orędownik“ zachęcał p. Wilkowskiego, by się zdobył na potrzebną siłę charakteru, bo na tem temu panu wcale nie zbywa, lecz nie będzie pewnie chciał na rozkaz „Orędownika“ szturmować głównego komitetu, bo już raz bezskutecznie „szturmował“ „Wiarusowców“ przed paru laty. Wtenczas „Orędownik“ unosił się nad bohaterem p. Münstermanem z Gelsenkirchen, dzisiaj tę samą komedyę odgrywa p. Lensing w Dortmund, a pan Witkowski pracuje wiernie z nami.

Niech już się „Orędownik“ z tą rzeczą pogodzi, że jego władza przedziera się do Westfalii tylko szczelinami a prawdziwa granica jego wpływu u brandenburskich piasków. Czytelnicy „Orędownika“ którzy tutejsze stosunki znają, nie godzą się na poglądy jego.

Tymczasem „Postęp“ antiżydowski, jeśli mnie pamięć nie zwiodła napisał, że „u nas tylko bieda i kłopot“. Że województwa do nas nie należały to „Postęp“ będzie wiedział. Przyjechaliśmy do Westfalii w jednem ubraniu, często za pożyczane pieniądze. Dziś przybyły nam po trzy i po cztery ubiory, a na książce oszczędności, jeszcze zapisane jakie sto marek, a że i inne narody mają w swem łonie trutniów i darmozjadów, więc i my Polacy niestety od tej plagi nie jesteśmy wolni.

J. C.



Skandal w Berlinie.

Od dłuższego już czasu publiczność niemiecka zajęta jest procesem zbankrutowanego Banku pomerańskiego w Berlinie.

Bank ten prowadził operacye hipoteczne bardzo wątpliwej wartości, wreszcie dyrektorowie jego stanęli przed kratkami sądowemi. Wszystkich jednak dziwiło to, że Bank mógł bezkarnie przez cały szereg lat oszukiwać ludzi, a nawet cieszył się uznaniem prasy.

Dziwną tę tajemnicę wyjaśniło dopiero świeże posiedzenie sądu.

Pomiędzy papierami jednego z aresztowanych dyrektorów, Romeicka, znaleziono książkę wydatków sekretnych.

Prokurator Beeck przedstawia ją w sądzie.

— W znalezionej u pana książce rachunkowej dla wydatków sekretnych — mówi do oskarżonego — znajduje się pozycya następująca: „Redaktor S. 1000 marek.“ Proszę objaśnić, co to znaczy?

Oskarżony Romeick. Odmawiam podania nazwiska. Pozycya tyczy się pracy, jaką pan ten wykonał dla nas poza zajęciami, związanemi z jego powołaniem.

Po odpowiedzi tej prokurator żąda odczytania dalszych pozycyi. Śród nich powtarzają się klikakrotnie następujące: Płaca kwartalna dla dra W. 3000 marek, dr. O. 3000 mar., dr. O. 2000 mar., prof. M. 2000 mar., dr. Oestreich 4000 mar. i t. d.

Osk. Schultz. Nazwisko Oestreich jest zmyślone, litery początkowe są również dowolne. Bezwarunkowo odmawiam jakichkolwiek objaśnień co do ludzi, których oznaczają, ponieważ ludzie ci nie byli przekupowani, lecz płaceni jedynie za prace. dla Banku dokonane.

Prok. Beeck. Podejrzenie, by od tych panów żądano czegoś nieuczciwego, jest dalekie ode mnie; jeżeli jednak o pracę uczciwą chodzi, to przecież oskarżony mógłby nam wymienić nazwiska.

Osk. Schultz. Odmawiam tego.

Epizod powyższy wywarł na obecnych wrażenie wielkie, tem bardziej, że podczas rozpraw poprzedzających go wykazało się, że klub prasy berlińskiej otrzymał również od Banku pomerańskiego pożyczkę 25,000 marek pod bardzo dogodnemi warunkami na budowę gmachu własnego.

Pożyczkę tę oskarżony Romeick objaśnia temi słowy:

Muszę oświadczyć, że nigdy mi przez myśl nie przeszło wymagać od dziennikarzy grzeczności, któreby mogły wpłynąć na ich sąd bezstronny. Skorzystaliśmy skwapliwie ze sposobności dania pożyczki klubowi prasy na budowę własnego gmachu, bo nie znaliśmy tych panów; a przecież znajomość ich osobista była dla nas pożądaną, aczkolwiek nie mieliśmy zamiaru wywierania na prasę nacisku niezgodnego z prawem.

Wyjaśnienie to, zarazem dwuznaczne, niczem nie osłabiło przekonania publiczności, że prasa berlińska czerpie dochody ze źródła brudnego, że łowi ryby w mętnej wodzie szwindlów bankierskich.

Wiec polityczny.

dla rodaków z Berlina i sąsiednich miejscowości odbędzie się w niedzielę, dnia 2-go sierpnia o godzinie 2-giej po południu na sali Kellera przy Koepnickerstrasse nr. 96 i 97.

Porządek obrad:

1) Zagajenie.
2) Sprawozdanie komitetu politycznego z działalności jego w ubiegłym pięcioleciu.
3) Referat w sprawie ostatnich wyborów parlamentarnych i sprawa rozszerzania działalności komitetu na całą prowincyę brandenburską.
4) Dyskusya.
5) Referat w sprawie utworzenia centralnego komitetu wyborczego polskiego na całe Niemcy.
6) Dyskusya.
7) Wybór nowego komitetu.

O liczny udział rodaków uprasza *Komitet polityczny kolonii polskiej w Berlinie.*

Berkan Władysław. Engel Ludwik Franciszek Krysiak. J. Głowacki A. Hennig. Janiszewski Edmund Mrozowski. Przybylski Stanisław. Rakowski Maryan. Rogoziński. Rose Karol. Sokołowski. Włażliński Jan. Wróbel Ludwik.



Cudowna Matka Bozka w Lourdes.

Drukiem „Pracy“.

Dział illustrowany.

Z ojczystych stron.

Przasnysz.

Z Warszawy przez Ciechanów, stacyi kolei nadwiślańskiej, szosą, 24 wiorsty długości, dostajemy się do Przasnysza. Okolica prawie bezludna, im bliżej ku Przasnyszowi, tem niżej położona. Samo miasto rozłożyło się na równinie, zlekka ku rzece Węgierce pochylonej.

Dziś miasto powiatowe gubernii płockiej, a niegdyś ludna stolica obwodu przasnyskiego. Gdy jednak przejdziemy po ulicach miasta, zajrzymy do jego zaułków i chwilkę poświęcimy uwagi rozwojowi handlu i przemysłu w tem mieście, zdaje się nam, że jeszcze nie dojechaliśmy do właściwego Przasnysza, tego niegdyś zamożnego miasta i wielkiego siedliska ruchu handlowego. W porównaniu z tem, co nam kroniki głoszą o przeszłości tej siedziby ludzkiej, dzisiejszy jej wygląd i stan ekonomiczny jest tak marnym, że mimowolnie zapytać się musimy, jakie przyczyny wpłynęły na tak doniosłą zmianę.

Przerzućmy karty historyi Przasnysza; może one nam coś powiedzą, niezrozumiałe wytłomaczą.

Wokół Ciechanowa ciągnęły się odwieczne lasy, a między innemi, część ich, zwana później puszczą Przasnyską, sięgały aż północnych bagnisk ziemi Ciechanowskiej. W tej puszczy, prócz zwierza dzikiego, tu i owdzie znaleźć było można domek oficyalisty leśnego lub rodziny żyjącej z przemysłu leśnego.

Pewnych danych o powstaniu miasta dzieje Polski nie przechowały, — pozostała jednak legenda, spisana przez troskliwego kronikarza, a według tej legendy, zawiązkiem obecnego miasta miał być młyn stojący na końcu puszczy, nad rzeczką Węgierką. Panujący tu książę Konrad Mazowiecki, na początku XIII-go wieku razu pewnego polował w puszczy, a zapuściwszy się w gęstwiny, zabłąkał się w lesie. Po długiem błądzeniu dojrzał światełko i przybył do domku młynarza Przasnyka. Właściciel młyna, widząc zbłąkanego myśliwego, gościnnie go przyjął u siebie i nocleg ofiarował. Dopiero następnego dnia, gdy dworzanie w poszukiwaniu księcia tu go znaleźli, młynarz dowiedział się, kogo podejmował u siebie. Książę Konrad wywdzięczając się za serdeczną gościnność, obdarzył młynarza godnością szlachecką i wydał mu przywilej na założenie miasta w tem miejscu. Nowe miasto nazwane zostało Przasnykiem, od nazwy założyciela, ale zczasem mowa potoczna nazwę tę przeistoczyła na Przasnysz. Kronikarz z r. 1585 zaznaczył nawet, że oryginalny przywilej ks. Konrada wydany Przasnykowi, przechowywał się w archiwum miejskiem, lecz podczas pożaru uległ spaleniu.

Nie posiadając żadnych innych dowodów, historyę Przasnysza musimy też przyjąć taką, jaką nam podanie ludu, przez kronikarza spisane, podaje.

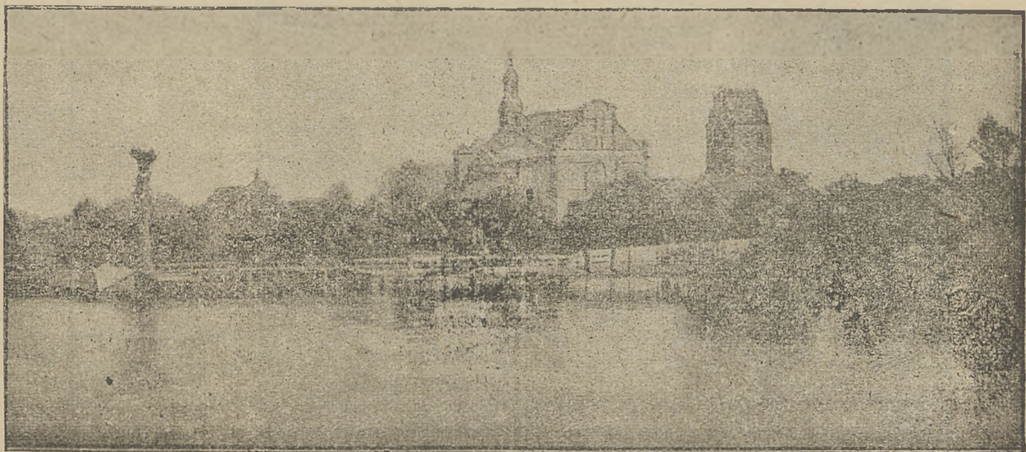
Szybko nowo założone miasto rozwijało się, tem szybciej, gdy zaczęto budować w niem fabryki i domy murowane. Wkrótce też Przasnysz staje się stacyą pośrednią pomiędzy Gdańskiem, Królewcem a Warszawą, stanowiąc przytem środkowy punkt handlowy całej okolicy.

W r. 1427 Jan, książę Mazowiecki, obdarzył miasto prawem chełmińskiem i uwolnił mieszczan od myt i opłaty cła. W latach następnych uzyskiwał Przasnysz jeszcze liczne przywileje, co pozwalało mu wzrastać w dobrobyt. Mieszkańcy jego, oprócz handlu, zajmowali się z zamiłowaniem hodowlą drzew owocowych, a szczególniej śliwek węgierskich, co nietylko dawało znaczny dochód, ale i liczne ogrody upiększały zarazem wówczas już stolicę starostwa niegrodowego. Ostatnim starostą był Błażej hrabia Krasiński, zmarły w r. 1817.

Lustracya z roku 1616-go wykazuje 201 ogrodów owocowych, co najlepiej świadczy o rozległości miasta i zamożności mieszkańców.

Wogóle w wieku XV Przasnysz wybitne zajmował stanowisko pomiędzy miastami. Zjeżdżało się tu mnóstwo kupców z odległych stron kraju i zagranicy, a handel tak był ożywiony, że wielu handlujących nie mogąc rozłożyć towarów w mieście, z powodu braku miejsca, prowadziło handel w szałasach, rozkładanych za miastem. Zwożono na targi tutejsze zboże, misterne wyroby ze złota i srebra, drogie kamienie, dywany i tkaniny kosztowne, sprowadzano bydło i konie. Na miejscu zaś istniały fabryki sukna, pierników, miodów, browary słynnego piwa, handle wina, w których dostać można było najprzedniejszych gatunków tego szlachetnego nektaru.

Lustracya z roku 1564 wykazuje tu 487 domów murowanych w samem mieście a 202 na przedmieściach. Piwowarów liczono już wówczas w Przasnyszu 126, złotników 10, kuśnierzy 36, szewców 67, rzeźników 22 i wielu innych. W liczbie spisanych przez lustratorów budowli znajdujemy okazały dwór murowany starosty. Dwór ten spalił się na początku XVII-go wieku. Jeżeli wreszcie zważymy, że wówczas już miasto liczyło 14000 mieszkańców, to porównawszy Przasnysz



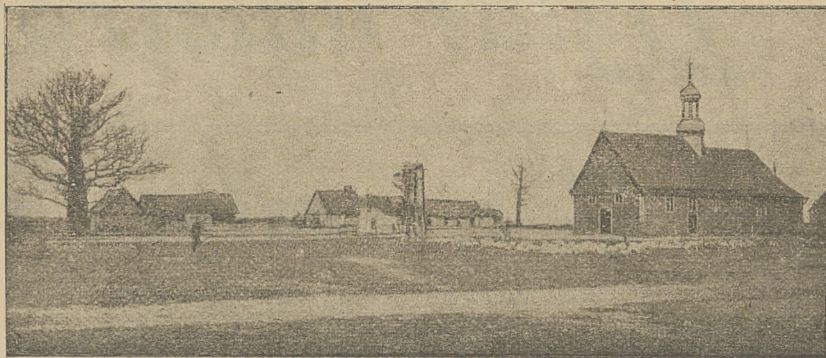
Kościół parafialny (Fara) w Przasnyszu.

z innemi miastami w owem stuleciu, przekonamy się, iż zajmował on poważne miejsce w kraju.

Rok 1600 był jednak początkiem upadku miasta. Spaliło się ono, a trzecia część domów legła w gruzach. Dalej też już niepowodzenia szły nieprzerwanym łańcuchem, bo oto w latach 1604, 1623, 1652, 1658, 1667 i 1677 morowe powietrze wyludniało miasto, a jednocześnie napady Tatarów, Kozaków i Szwedów zrujnowały dobrobyt mieszkańców, gotując im zwolna zupełną ruinę. Za czasów Jana Kazimierza nieomal Przasnysz zupełnie znikł z mapy kraju. Miasto doszczętnie spalono, a mieszkańców w pień wycięto. Po pewnym czasie, zaledwie na gruzach zaczęli osiedlać się nowi przybysze, Szwedzi znowu rabowali i palili, to też o powrocie do dawnej świetności już mowy być nie mogło.

Przasnysz wegetował tylko, mieszkańcy opowiadali dzieciom o jego świetnych czasach, a kronikarz upamiętnił je na papierze, nie przewidując może, że notując fakty ekonomicznej potęgi miasta, pisał jednocześnie nekrolog świetnych czasów. Z biegiem czasu miasto upadało coraz więcej, a ubóstwo mieszkańców przebijało się w zewnętrznym wyglądzie dawniej wspaniałego miasta i dotąd też wygląd ubogi przechował się, jakby chciał tem silniej ujawnić kontrast z przeszłością. Dziś nawet już lepiej się miasto prezentuje, aniżeli na początku ubiegłego wieku, bo starzy ludzie opowiadają, że gdy w roku 1806 Napoleon podążał przez Przasnysz karetą w muły zaprzężoną, w miejscu gdzie dziś stoi dom doktora Wieczorkiewicza, kareta ugrzęzła w błocie. Cesarz zmuszony był wysiąść, przejść po deskach dalej, a ludzie dopiero wydobyli karetę.

Kościół parafialny, jako kapliczka, zbudowany był już w XIII wieku, obok dworu książęcego, który również tu istniał. W wieku XVI, jak dowodzi struktura murów, dawna kapliczka przebudowaną została na większych rozmiarów świątynię, której konsekracya odbyła się w roku 1408. Pożary jednak nie oszczędzały tego kościoła, to też w wieku XVII odbudowano go niemal z gruntu i poświęcono w roku 1670. Pożar w roku 1792 zniszczył całe wnętrze świątyni, wskutek czego nabożeństwa parafialne odprawiały się w kościele bernardynów aż do chwili odrestaurowania i poświęcenia kościoła parafialnego, czyli do roku 1856. Nieudolna to jednak widocznie była ta restauracya, ponieważ w r. 1880 parafianie zmuszeni byli przystąpić do gruntownej przebudowy kościoła. Prócz ścian — wszystko dano nowe. Na dachu wzniesiono kopułę, sufit zbudowano w kształcie sklepienia, ułożono marmurową posadzkę i sprawiono nowy chór z organami.



Święte miejsce pod Przasnyszem.

Drugi kościół św. Ducha, murowany, zrujnowany i opuszczony przez długie lata, staraniem miejscowego proboszcza odrestaurowany został w roku 1877.

Przy szpitalu, istniejącym tu od początku XVI wieku była kaplica drewniana, pod wezwaniem św. Jakóba, a ponieważ wówczas już chyliła się do upadku, rozebrano ją, a na tem miejscu Paweł Kostka w r. 1568 zbudował dotąd istniejący kościół murowany z klasztorem bernardynów, którzy założyli w Przasnyszu szkołę trzyklasową.

W roku 1615-ym Elżbieta Mostowska, skarbnikowa ciechanowska, zbudowała kościół św. Michała z klasztorem panien bernardynek, na których miejscu w r. 1864 osadzono felicyanki. Bernardynki utrzymywały w klasztorze pensyonat, którego rozgłos obijał się o najdalsze zakątki kraju, wydając wiele zacnych i wykształconych panien. Za rządów pruskich kościołek św. Michała przy ulicy Żydowskiej oddany został w posiadanie ewangielików.

Istniał tu jeszcze i piąty kościół drewniany przy ulicy Żydowskiej, pod wezwaniem św. Krzyża, lecz zrujnowany, rozebrany został w r. 1793.

Z pozostałych gmachów zasługują jeszcze na uwagę: szpital, zbudowany w r. 1858 ze składek okolicznych mieszkańców, i ratusz, ocalony od pożaru w roku 1875 energią p. Ezechiela Lasockiego. Pożar ten powstał 19-go sierpnia, a tak gwałtownie się szerzył, że w kilka godzin połowę miasta zamienił w zgliszcza i popiół. Mieszkańcy utracili swoje mienie w płomieniach i zapanowało ubóstwo. Wprawdzie na miejscu dawnych budynków drewnianych postawiono murowane, ale dobrobyt wrócić dotąd nie może.

Okolica, obfitująca niegdyś w zwierzynę, dziś, ogołocona z lasów, smutne sprawia wrażenie.

L. V. J.





Przasnysz: Park w Bartnikach.



Książę Adam Sapieha.

Są ludzie, którzy nie chcą wysuwać się na czoło narodu, nie pragną dla siebie patentu pierwszeństwa, a mimo to, a może właśnie częściowo dlatego — stają się duszą wielkich narodowych akcyi, skupiają wkoło sie-

bie całe zastępy dzielnych dla ojczyzny pracowników.

Do rzędu takich mężów należał także zmarły przed dwoma tygodniami u wód w Reichenhall, gdzie szukał ulgi w cierpieniach, książę *Adam Sapieha* — znany także pod przydomkiem: *„czerwonego księcia.“*

Polska straciła w nim patryotę niezwykłej miary, jednego z najwybitniejszych swych synów i obywateli. Żywot jego i jego działalność publiczna, to rozdział cały z porozbiorowych dziejów naszych. Był to nieodrodny potomek owego Sapiehy, wojewody witebskiego, którego wierny, a świetny portret dał nam Sienkiewicz w „Potopie;“ tak samo gotów każdej chwili do poświęcenia życia i mienia dla ojczyzny. Tem głębiej też powinniśmy zapisać sobie w pamięci jego żywot i czyny, ponieważ należy on niemal do *wyjątków* wysokiej naszej arystokracyi. Dziś gdy tyle naszych rodów arystokratycznych — część Radziwiłłów, Potockich, Braniccy i t. d. zupełnie zobojętniało dla sprawy narodowej, tem jaśniej promienieje nazwisko *Sapiehów*, a zwłaszcza tego zacnego potomka możnego a zacnego rodu.

Adam Sapieha urodził się dnia 4-go grudnia 1828 w Warszawie, jako syn księcia Leona, który wybitny brał udział w powstaniu roku 1830/1, a potem tułać się musiał po świecie, zanim znów rozwinął działalność obywatelską w Galicyi, gdzie pierwszym był marszałkiem krajowym. Studya odbywał we Lwowie i tutaj wcześnie już wszedł w kontakt z kierownikami ruchu narodowo-demokratycznego. Popierał ten ruch szczerze i gorąco, bo dopatrywał się w nim odrodzenia narodu. Czynił to zaś nietylko przez osobistą działalność polityczną lecz także przez zasilanie wydawnictw peryodycznych tego kierunku, jak „Dziennika polskiego“ i „Głosu“ we Lwowie — oraz „Kraju“ w Krakowie. Otwarty w słowie i czynie, czem różnił się ogromnie od wielu innych ówczesnych magnatów, hołdujących oportunizmowi, już wówczas zdobył sobie miano „czerwonego księcia.“ Wybrany posłem do sejmu gal. w roku 1861, zajął w nim od razu wybitne stanowisko, co osięgnął tem łatwiej, ponieważ obok innych zalet, świetną wprost rozporządzał wymową. On to razem z śp. *Franciszkiem Smolką* i Dzieduszyckim w dniu 2-go lutego 1861 r. wręczył ówczesnemu kanclerzowi Austryi Schmerlingowi rezolucyę, zawierającą jako główne żądania kraju i jego niepodzielność, ustanowienie sejmu, zaprowadzenie języka polskiego, jako urzędowego i *nieobsyłanie austryackiej Rady państwa z Galicyi.*

W sejmie zasiadał najpierw od roku 1861 do 1863, potem od roku 1868 do 1896. Jego mowy sejmowe były wypadkiem dnia, oddziałującym na tok obrad, nieraz nadając im ton zasadniczy.

W powstaniu roku 1863 wziął udział równie wybitny. Radykalny w poglądach na zadania porozbiorowej Polski, pragnął przyspieszyć jej niepodległość. Więc ze swej strony czynił wszystko, co w jego mocy leżało, aby zapewnić powodzenie walce orężnej. Uwięziony za to dnia 9-go kwietnia roku 1863 i osadzony w więzieniu karmelickiem w Lwowie przez



† Książę Adam Sapieha.

austryackie władze rządowe, które uważały go za głównego inicyatora i kierownika ruchu powstańczego, zdołał prawie cudem ujść granicę, skąd wrócił do kraju dopiero w roku 1866.

Z tym rokiem rozpoczyna się nowy okres w jego życiu. Niemile widziany na dworze austryackim, nie stara się do niego zbliżyć, pomimo, że pokusy i „pouczających“ przykładów w tym względzie nie brakło. Działa w sejmie i życiu publicznem. Pojmując dobrze potrzebę ekonomicznego i kulturalnego podniesienia kraju, w tym kierunku wytężał starania. Interesował się galicyjską Kasą oszczędności, Towarzystwem wzajemnych ubezpieczeń, którego był prezesem od r. 1875, był założycielem galicyjskiego Banku kredytowego, kuratorem krajowej szkoły rolniczej w Dublanach, członkiem najrozmaitszych towarzystw filantropijnych i ekonomicznych. Wielkie mianowicie oddał zasługi związkowi *galicyjskich ochotniczych straży pożarnych*, przez długie lata piastując godność jego prezesa.

Tutaj uważamy za nasz obowiązek sprostować mylne twierdzenie, z jakiem o zmarłym księciu wystąpiło jedno z pism lwowskich. Twierdziło ono, że książę podczas wojny rosyjsko-tureckiej w roku 1877/8 stał na czele tajnej konfederacyi polskiej w Galicyi, która zamierzała wywołać w Królestwie, ogołocone wówczas z wojska rosyjskeigo,, nowe *powstanie.*

To nieprawda! Możemy tu z całą stanowczością zapewnić, że książę nietylko nie kierował akcyą tej konfederacyi, lecz był zdeklarowanym przeciwnikiem jej zamiaru. Wiedział on aż nadto dobrze, że powstania sztucznie wywołać nie można, że Królestwo jest do porywu takiego zupełnie nieprzygotowane, że wysłanie tam oddziałów z Galicyi byłoby tylko tem, co Niemcy nazywają „putschem“ któryby sprawę polską skompromitował, a nie osięgnął żadnego rezultatu, prócz zwiększonego ucisku braci naszych w Koronie. Ludzie najpatryotyczniejsi wówczas zgadzali się z nim w tem przekonaniu zupełnie i błagali, żeby szaleństwu przeszkodzić. I książę Adam istotnie zapobiegł temu ośmieszeniu i skompromitowaniu naszej sprawy i to jest jedna z największych jego zasług.

Przypuszczał on jednak, że uda się Austryą wciągnąć do akcyi antirosyjskiej i w tem się zawiódł. Austrya już wtedy miała zapewnione posiadanie Bośni i Hercogowiny i żadna siła ludzka nie była w stanie odwrócić w inną stronę jej wyroku.

Kulminacyjnym punktem w działalności śp. księcia Adama było jego przewodnictwo w komitecie *pamiętnej wystawy krajowej we Lwowie* roku 1894. Uczynił on z niej wielkie dzieło narodowe, jej plac punktem zbornym dla całej Polski i dla wszystkich jej stanów. Tutaj przyszło także do zbliżenia między nim a dworem austryackim od którego dotąd trzymał się zdala. Zachwycony wystawą i gorącem przyjęciem we Lwowie, cesarz Franciszek Józef serdecznie uściskał dłoń księcia, a w kilka lat później odznaczył go najwyższym orderem austryackim *„złotego runa“*, które łączy obdarzonego zewnętrznem węzłem kuzynostwa z panującym.

Przyszły potem dla księcia czasy bardzo przykre. Era powystawowa, pełna katastrof finansowych, złamała jego zacną duszę, przyspieszyła zgon jego. Niesumienność ludzi, którym oddał dyrekcyę galicyjskiego Banku kredytowego przyprawiła go o ogromne straty finansowe, naraziła go *nie-*



Rynek w Przasnyszu.

słusznie na ataki i bolesne zarzuty. Za niesumienność swoich mężów zaufania zapłacił swoim majątkiem, cóż mógł uczynić więcej? Zgryzoty ostatnich lat życia wytworzyły nadto chorobę ...rca, z którą pasował się przez lat ...ż uległ jej wreszcie.

W chwili, ... gdy nie zastygły jeszcze jego zwłoki, jedno ... kilku, ... z galicyjskich pism konserwatywnych zarzu... ...ciło mu „wichrowatość — graniczącą z ... tradycyjnem „warcholstwem szlacheckie... ...m."

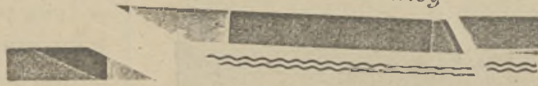
I ten zarzut jest krzywdą ciężką dla zmarłego. Daj nam Boże takich „wichrowatych" i takich „warchołów" *jak najwięcej!* Zmarły był w każdym calu Polakiem, był Polakiem w każdym ruchu swej myśli, w każdem uderzeniu serca. Zdziałał zaś dla Polski a zwłaszcza dla Galicyi stokroć więcej niż wszyscy ci, którzy pragną „zbawić" Polskę „dyplomacyą" i obłudnym „trójlojalizmem."

Zwłoki ś. p. księcia Adama złożono dnia 25 lipca w grobach rodzinnych w *Krasiczynie* w Galicyi. Na jego pogrzeb przybył w zastępstwie cesarza minister dla Galicyi dr. Piętak, przybyli przedstawiciele najwyższych władz krajowych Galicyi. Był tam namiestnik hr. Andrzej Potocki, był marszałek krajowy St. Badeni, wicemarszałek dr. Pilat, metropolita Szeptycki, biskupi Czechowicz i Fiszer, Kazimierz Badeni, prezes lwowskiej Izby handlowej, byli członkowie Towarzystwa gospodarskiego z prezesem dr. Kozłowskim, bardzo wielu posłów do Sejmu i do Rady państwa, Andrzej Lubomirski, Jerzy Czartoryski, deputacya Rady miasta Lwowa, Związek ochotniczej straży pożarnej, okoliczne obywatelstwo i mieszczaństwo, ks. Roman Sanguszko, prezydent wyższego sądu Tchórznicki, radca dworu Dembowski i w. in.

Po egzekwiach ruszył z kościoła kondukt. Na czele szła orkiestra „Gwiazdy" przemyskiej, dalej cztery plutony straży pożarnej, młodzież szkół średnich z Przemyśla, deputacya gmin *wiejskich* powiatu, weterani z r. 1863 i liczny zastęp przemyskich Sokołów. Za trumną, którą na przemian niosła straż pożarna, Sokoli, włościanie i oficyaliści prywatni, szła rodzina i przybyli goście żałobni.

Było na tym pogrzebie łez i westchnień dużo, tylko *mów* pogrzebowych nie było, bo zmarły ich sobie *nie życzył.* I słusznie! Bo czyny jego przemawiają do nas wymowniej — niż najpiękniejsze popisy krasomówcze. Cześć pamięci szczerego Polaka i wielkiego obywatela!

Galicyanin.



Żałobna rocznica.

(5-go sierpnia 186...)

Okrągłych lat trzydzieści i dziewięć upłynie dnia 5-go sierpnia b. r. od owego pamiętnego dla wszystkich Polaków dnia, w którym na stokach cytadeli warszawskiej zginęli śmiercią męczeńską na szubienicy: Romuald Traugutt, Rafał Krajewski, Józef Toczyski, Roman Żuliński i Jan Jeziorański.

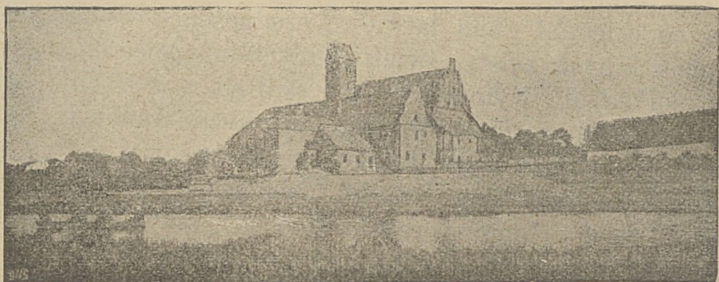
Kim byli ci mężowie i za co spotkała ich śmierć haniebna, którą zwyczajnych karają zbrodniarzy, nie ludzi idei, nie ludzi poświęcenia, o czystych i wzniosłych zasadach i dążeniach — któż o tem nie wie? Pomijając więc opis zdarzeń i wypadków, które splotły się z ich osobami i uwieńczyły w końcu ich skronie cierniową koroną męczeństwa, jako rzecz powszechnie znaną — przejdźmy odrazu do pobieżnego bodaj skreślenia dziejów, tak dla nas bolesnego dnia — 5-go sierpnia 1864 roku, którego rocznicę właśnie święcimy.

Dostawszy dnia 10 kwietnia 1864 roku w moc swoją bohaterskiego Romualda Traugutta, władze rosyjskie nie posiadały się z radości. Wiedziały bowiem zbyt dobrze, że z chwilą jego ujęcia powstanie styczniowe uważać można było już za nieistniejące, gdyż oderwano od jego steru człowieka, o niesłychanej energii i ogromie poświęcenia się dla sprawy narodowej, który, jako tajemny dyktator, przez sześć niemal miesięcy podtrzymywał sam jeden, bez niczyjej prawie pomocy, gasnący już, niestety, powoli płomień walki o wolność.

I nie omyliły się.

W istocie bowiem, w ową noc kwietniową, w którą Traugutta ujęto i osadzono w podziemiach „Pawiaka," powstanie skonało i istnieć przestała widoma władza powstańcza: „Rząd narodowy" — w cztery zaś miesiące później Rosya, święcąc swój tryumf u słupów szubienic, na stokach cytadeli warszawskiej, ogłosiła światu zgon owej władzy powstańczej, która uosabiała w sobie wolę najwyższą narodu i ideę jego niepodległości.

Należało jednak nadać owej chwili jak największy rozgłos i pokazać światu, że nie pozostał już ani kamień na kamieniu z gmachu organizacyi powstańczej i że szczyt tego gmachu, Rząd Narodowy, personifikacya polskiej idei państwowej, pod obuchem losu, w gruzy się rozpadł. Postanowiono więc postawić na wzniesionym stosie ofiarnym jak najwięcej ofiar, ażeby, choćby kłamstwem, przekonać wszystkich, że już cały Rząd Narodowy znajduje się w rękach Rosyi, że już wszystkich jego członków skazano na zagładę, że zatem już wszystko skończone. Początkowo miało zginąć siedmiu więźniów „X Pawilonu," car jednak miał się podobno wyrazić, że dość będzie powiesić p... ...ięciu. Zastósowano się do woli łaskawego monarchy i z siedmiu wybrano — pięciu, t. j. postawiono obok Traugutta czterech innych mężów wielkiej prawości charakteru, szlachetności duszy, niezwykłego poświęcenia: Rafała Krajewskiego, Józefa Toczyskiego, Romana Żulińskiego i Jana Jeziorańskiego, z których jednak żaden, nigdy, a tembardziej za dni tajemnej dyktatury Traugutta, członkiem Rządu Narodowego nie był. Wybór ich na śmierć był dowolny, kłamstwem jeno upozorowany,



Kościół po-bernardyński w Przasnyszu.

uskutecznił go zaś generał Taranow, prezes audytoryatu.

5-go sierpnia 1864 r. w piątek, odbyła się egzekucya.

Na pięciu prostych wózkach wywieziono rankiem tego dnia z więzienia pięć ofiar, pięciu bohaterów obowiązku, których stracenie uważała Rosya za szczyt swego tryumfu. Obok każdego ze skazańców siedział spowiednik. Pochód na stracenie rozpoczynał Traugutt, zamykał Jeziorański, wzdłuż zaś drogi, którą wieziono skazańców, stały zwarte szeregi wojska, w całej paradzie, z dowódzcami na czele, a za niemi snuły się tłumy ludu w milczeniu, z piętnem tajonego bolu na twarzach.

Przybyto do stóp cytadeli, na której stokach widniało pięć białych słupów szubienic. Ustawiwszy każdego skazańca pod przeznaczoną dla niego szubienicą, rozpoczęto odczytywanie wyroku śmierci. Odczytywano go długo, powoli, z pewną ostentacyą; widocznie chcieli się oprawcy nasycić widokiem lęku u swych ofiar, ale nie było im to danem. Skazańcy stali na swoich miejscach, pełni powagi, spokoju, z dziwnym blaskiem w oczach, w których wyczytać można było najwyższe podniesienie ducha i jakby błogość i szczęście, że umierają za tę nieszczęśliwą ziemię, której dźwignąć z niewoli Bóg im nie pozwolił...

Rozpoczęła się wreszcie egzekucya. Skazańców wieszano w porządku odwrotnym do tego, w którym ich wieziono. Pierwszy więc zawisł na szubienicy Jeziorański, ostatni zaś Traugutt. Podczas czytania wyroku Traugutt odmawiał modlitwy ze swym spowiednikiem, a gdy mu zarzucono pętlę na szyję, złożył na piersiach ręce do modlitwy i w tej pozycyi zawisł obok czterech swoich towarzyszy.

Jęk boleści wydarł się wtedy z tysięcznych piersi ludu, a był tak głośny, tak przejmujący, że nie zdołały go zgłuszyć ni bębny, ni dźwięki muzyki wojskowej. Przeniknął on w serca obecnych i został w nich na długo, na zawsze, nigdy niezapomniany, wiecznie żywy...

Ciała straconych bohaterów wisiały przez dwie godziny na szubienicy, poczem je zdjęto i zakopano w nieznanem miejscu w fosach twierdzy, posypawszy poprzednio niegaszonem wapnem i polawszy wodą, ażeby z nich i śladu nie zostało.

Tak skończył się ostatni akt krwawej tragedyi, 1863/64 roku, tak skończyli ci wielcy bohaterowie o duszach, jakby ze spiżu ulanych, z których się nigdy ani jedna skarga nie wydarła, ani jeden dźwięk fałszywy nie wypłynął, o sercach gorących, jednem tylko zawsze pragnieniem tętniących — pragnieniem wolności.

Zginęli, jak bohaterowie męczennicy, i jako tacy mają zawsze wdzięczne w naszych sercach miejsce i mieć je w nich zawsze będą, chociaż dla wielu, niestety, nie są one niczem innem i niczem więcej, jeno tymi nedowarzonymi młodzikami, co to porwali się z motyką na słońce, no — i sami byli sobie winni. Tak, byli winni, jeżeli winą jest, że nie umieli chodzić w jarzmie niewoli, że nie umieli lizać stóp swoich oprawców, że nie umieli całować ręki, która im Matkę-Ojczyznę wydarła i w poniżenie rzuciła.

Ale to „wina" bardzo... zaszczytna. Świadczy ona i świadczyć będzie zawsze za sobą i o sobie, na swoją korzyść, a na niekorzyść tych, którzy, choćby już nic innego, to nawet ogromu poświęcenia u innych odczuć i zrozumieć nigdy nie umieją...

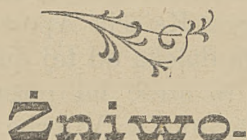
S. P.

Lourdes.

(Do illustracyi albumowej.)

Miejscowość Lourdes, starożytne *Lapardum*, p łożona jest we francuzkim departamencie Wyższych Pirenejów, w okręgu Argelés przy wyjściu z doliny Lavedan. Lourdes liczy 6 200 mieszkańców i posiada więzienie stanu. W ostatnich czasach zasłynęła miejscowość ta licznemi pielgrzymkami do cudownej Matki Boskiej, która się tutaj objawiła w 1858 r. Woda, wypływająca ze źródła w grocie, uważaną jest za cudowny środek leczniczy. Ojcu św. Leonowi XIII., spoczywającemu na łożu śmierci, przysłano także wodę z Lourdes. Nad skałą wzniesiono tutaj w 1878 r. kościół, nadto jest w Lourdes kilka jeszcze kościołów, dalej są liczne kaplice, klasztory, hotele, składy itd. Liczba pielgrzymów dochodzi obecnie do 500,000 rocznie.

— ski.



Żniwo.

Stanęli żeńcy w szereg długi,
I dzwonią sierpy, ni to dzwony,
I płyną z czoła potu strugi
I kładą się na ziemi plony.

Stanęli żeńcy ramię w ramię
I nucą razem pieśń radosną,
Bo kłos się pod ciężarem łamie,
Snać dobrą była siejba z wiosną.

Czy to my stoim tak gromadą,
Tak ramię przy ramieniu blisko?
Czy to się dla nas teraz kładą
Tak złote kłosy na ściernisko?

Czy to my dzielni ci żniwiarze,
Którym opłacą się mozoły,
Kiedy już zniosą gospodarze
Obfite zbiory do stodoły?...

I my się trudzim w czoła pocie
I my się nie lękamy pracy
I nasi żeńcy przy robocie,
Jakto za Piasta, są jednacy...

Tylko, że ziemia z krwi i bolu
Stężała i ma twardość skały —
Do ziarna zmieszał wróg kąkolu,
A kłosy wróble wydziobały.

Tylko — gdzie oni, gdzie sąsiady,
Tam jasne niebo i pogoda,
A nam wciąż biją ziarno grady,
A nam zalewa plony woda.

A nam szarańcza ścina kłosy,
Albo je spalą żary słońca,
A u nas łzy są zamiast rosy
I tak bez kresu i bez końca.

Kazet.



Młodość Leona XIII.

Wiosna roku 1811 była tak uroczą, jak zwykle bywają wiosny włoskie; przez otwarte okna fale ciepłego powietrza płynęły do obszernej komnaty starego dworca, wznoszącego się nad nędznymi domkami górskiego miasteczka Carpineto. Skromnie tu było i dość pusto, pod ścianami stały ciężkie, staroświeckie sprzęty, żaden kobierzec nie zaściełał kamiennej posadzki, jedyną ozdobą był komin marmurowy z herbem Peccich. Przy stole siedziała liczna rodzina.

Pan domu hr. Ludwik Pecci, dawny wojskowy, mężczyzna w średnim wieku, z energicznem i wyrazistem obliczem, rozmawiał z gościem, przybyłym z miasta, siwowłosym starcem o przenikliwych oczach, w których niekiedy silny blask migotał. Z wyniosłego czoła gościa bił rozum i powaga, szaty świadczyły, że ten poważny mąż piastuje godność kanonika.

Gromadka dziatwy różnego wieku otaczała młodą kobietę o szlachetnym i łagodnym wyrazie twarzy. Zwrócona cała pilne baczenie na dzieci i jednocześnie słuchała z uwagą rozmowy między księdzem a mężem. Czasy były burzliwe. Napoleon zagarnął własne dzierżawy papieskie, w których zapanował bezrząd i zamieszanie. Rozzuchwaleni rozbójnicy, mając bezpieczne kryjówki w wąwozach górskich

napadali na okoliczne dwory i z sąsied niego kolegium uprowadzili wszyst kich młodzieńców, za których zażąd li okupu sutego.

Ciężkie położenie Piusa VII, wię zionego we Francyi, troską i obaw przejmowało umysły. Sędziwy kanonik przypomniał proroctwo biskupa Malachiasza o dzikim orle — „Aquila rapax''. Wtem z przyległej komnaty przez młodsze dziatki zamieszkanc rozległy się strwożone głosy pia stunek:

— Kometa! Kometa!

Hrabina Pecci podniosła się żywo, gdyż usłyszała płacz najmłodszego synka, zbudzonego ze snu; mężczyźni wyszli na balkon, żeby podziwiać wspaniałe zjawisko, przejmujące za bobonnym strachem lud, który widzia w niem wróżbę klęsk i nieszczęść.

Hrabina Pecci wzięła na ręce naj młodszego syna i wyszła z nim także na balkon. Dziecię, ujrzawszy na nie bie świetną gwiazdę, przestało kwilić i, zamiast się przestraszyć, ze śmiechem wyciągnęło do niej rączęta. Zdumiel się rodzice, a w oczach sędziwego ka płana błysnęła myśl tajemna:

— „Lumen in coelo'' — rzekł ja by do siebie — i chłopię go się nie lę ka, gdyż pod tym znakiem się uro dziło.

— Czy sądzisz, księże kanoniku, że nasz mały Vincenzo-Gioachin usprawiedliwi kiedyś herb rodzinny w którym jest także gwiazda z ogonem promienistym? — zapytał ojciec.

— Któż to wiedzieć może? Kometa w każdym razie zwiastuje nam bardzo ważne rzeczy, nie widzę jednak zapowiedzi nieszczęścia, ale raczej wróżbę radosną. Gwiazda betlejemska była przewodnikiem mędrców ze Wschodu, dzisiejsza może zaprowadzi wysoko to dziecię, które się z niej cieszy.

Matka chwytała chciwie każde słowo starca, o którym mówiono, że ma dar proroczy. Wyciągnął błogosławiące dłonie nad główką chłopięcia i silne wzruszenie odbiło się na poważnem jego obliczu:

„Lumen in coelo!''

Kiedy w 67 lat później, Joachim Pecci został obrany głową Kościoła powszechnego, przekonano się ze zdumieniem, że do jego herbu stosuje się właśnie proroctwo św. Malachiasza, który przepowiadał, że po „Crux de Cruce,'' nastąpi „Lumen in coelo,'' światło z nieba. Spełniła się wróżba biskupa irlandzkiego.

Tymczasem dziecię wzrastało pod czujnem i kochającem okiem matki. **Dziewięcioro dziatek Bóg jej zesłał,** ale Vincenzo był ulubieńcem. W każdym liście najwięcej rozpisuje się o nim. Może po niej, prawnuczce rzymskiego trybuna Cola di Rienzi, odziedziczył umysł bystry i niezłomną siłę charakteru. Wcześnie rwał się do książki, ale zarazem w całej okolicy nie było większego zucha nad tego chłopca, zwanego „aniołem'' dla wielkiej swojej urody. Piął się po górach, jak dzika koza, biegał śmiało nad przepaściami, wdzierał się na szczyty niebotyczne i tam, w rodzinnych Apeninach, zahartował się do trudów, które czekały go na Stolicy Piotrowej.

Znany był z dobroci serca. Raz, wracając z przechadzki, zobaczył małego wieśniaka, leżącego na ziemi i jęczącego z bólu: chłopiec ten wypadł z wozu i stłukł sobie nogę. Vincenzo pobiegł do bliskiego źródła, przyniósł wody w kapeluszu i obmywszy ranę, zaprowadził chłopca do domu. W drodze spotkał go nauczyciel.

— Co powiedzą rodzice twoi na widok tego brudasa?! — rzekł.

— Powiedzą, że dobrze uczyniłem — odparł żywo.

Lato i jesień rodzina Peccich spędzała w skromnym domu wiejskim, w pobliżu Carpineto położonym śród malowniczej okolicy górskiej i otoczonym ogrodami, których główną ozdobą były cieniste aleje dębów i kasztanów. Najczulsze przywiązanie łączyło dwóch najmłodszych braci: Józefa i Joachima; kiedy więc dla pierwszego nadeszła pora nauki, postanowiono wysłać ich razem do Rzymu, gdzie mieli się przygotować do kolegium OO. Jezuitów w Viterbo.

Stryj Antoni udzielił synowcom gościny w starożytnym pałacu Muti, wznoszącym się u stóp Kapitolu, w pobliżu wspaniałego kościoła Franciszkanów Ara Coeli. Wspomnienia pogańskiego Rzymu i pamiątki chrześcijaństwa, zewsząd otaczały pacholę i wywierały potężny wpływ na wrażliwą wyobraźnię. Kiedy zstępował do podziemi mamertyńskich, gdzie więziony był św. Piotr, czy mógł przewidzieć, że w przyszłości on będzie następcą Księcia Apostołów! Myśl taka była daleką od tej duszy.

W sześć lat później, ukończywszy kolegium w Viterbo, gdzie odznaczył się wyjątkowemi zdolnościami, młodziutki Wincenty Joachim Pecci wraca znowu do pałacu Muti i ztamtąd uczęszcza do poblizkiego „Collegium Romanum.'' W tej epoce spotkała go największa boleść, jakiej doznał w życiu: śmierć matki. Hrabina Anna umarła w Rzymie i jako tercyarka pragnęła być pochowaną w kościele św. **Franciszka. Najmłodszy syn ułożył** napis grobowy, w którym wysławia cnoty „umiłowanej rodzicielki, rzadkiej, nieporównanej niewiasty.''

Po zgonie matki odrzucił pierwsze imię Wincenty i odtąd podpisuje się tylko „Joachim'', gdyż to przywodz mu na myśl ukochane imię matki „Anna.'' Z takim zapałem oddaje się naukom, że w dwudziestym drugim roku życia otrzymuje dyplom doktora teologii, prawa cywilnego i kanonicznego a w księgach akademii zapisana jest pod datą r. 1830 następująca uwaga

„Ten młodzieniec do wielkich rzeczy jest stworzony''.

Starszy brat, Józef, wstąpił do zakonu OO. Jezuitów, a za jego przykładem Joachim postanowił także poświęcić się stanowi duchownemu, do którego oddawna czuł powołanie. Jakie były jego uczucia w chwili otrzymania wysokiej godności kapłańskiej, o tem świadczą najlepiej listy, pisane wówczas do kardynała Sala i do brata Karola.

„Kiedy się zastanawiam nad wzniosłością stanu duchownego, a jednocześnie rozważam moją własną niegodność, ogarnia mię trwoga bez granic. Niech Wasza Eminencya raczy nie zapominać o mnie w swoich modlitwach. Chciałbym gorąco być prawdziwym kapłanem, służyć Bogu gorliwie dla Jego chwały...''

Oto urywek z listu do brata:

„Jeszcze kilka dni, a zostanę księdzem. Szczytność tego powołania, i moja przytem niegodność, wzruszają mię głęboko... Oby Wszechmocny który mię powołuje do swoich ołtarzy udzielił mi siły i odwagi, ażebym mógł wiernie spełnić swoje obowiązki!...''

Dnia 31 grudnia roku 1837 z rąk kardynała Odescalchi otrzymał święcenia kapłańskie.

Umiano ocenić zdolności młodzieńca i jego charakter; już w następnym roku, Papież Grzegorz wysyła 27-letn. księdza Pecci, jako legata do Benewentu, a następnie i Perugii; w r. 1846 mianuje go tytularnym biskupem Damietty i nuncyuszem w Brukseli, w trzy lata później powierza mu godność biskupią w Perugii. Tam w uroczej stolicy Umbryi, pełnej wspomnień św. Franciszka, bogatej w dzieła sztuki, przyszły papież spędził długie lata, najpiękniejsze może i najszczęśliwsze w życiu. Gorliwy w spełnianiu swoich obowiązków, codzień jednakże przeznaczał kilka godzin na dalekie przechadzki, wstępował na wzgórza zielone, zapuszczał się w lasy, błądził nad brzegami błękitnego jeziora, rozkoszując się piękności-

ciami przyrody, na które poetyczny jego umysł był zawsze wrażliwy.

Niemniej zachwycał się dziełami sztuki, z których Perugia słynie; miasto zawdzięcza mu odnowienie katedry, jednego z najcelniejszych klejnotów budownictwa.

Ks. S. K.

Leon XIII. jako poeta.

Leon XIII. znany był także jako znakomity poeta. W r. 1883 Towarzystwo opieki nad dziećmi, założone w Udine wydało na swoją korzyść łacińskie poezye Papieża. Pracę zebrania tych poezyi powierzono Jeremiaszowi Brunellemu, profesorowi seminaryum w Perugii, który następnie przełożył utwory te na język włoski. Przekład ten na konkursie, do którego wezwano wszystkich literatów włoskich, uznano za najlepszy i uwieńczono nagrodą.

Zbiór poezyi Leona XIII. nie jest wielki co do ilości utworów, ale posiada znaczną wartość poetycką. Rozmaitość przedmiotów, którymi muza papiezka się zajmuje, stanowi ich zaletę obok lekkości i subtelności, z jaką autor przechodzi od ody i hymnu, aż do epigramu, alegoryi i listu wierszowanego.

Pierwsze dwa utwory w książce, wydanej przez wspomniane towarzystwo są to hymny napisane w r. 1881 na cześć św. Herkulana i św. Konstancyusza, biskupów męczenników, patronów kościołów w Perugii.

Św. Herkulan był biskupem perugijskim w epoce, w której Gotowie pod wodzą Totyla oblegli miasto. Wódz ich zdobywszy miasto przez zdradę kazał ściąć kapłana, który uorganizował i podtrzymywał obronę. To podanie Leon XIII. uwiecznił w poezyi; o obleżeniu mówi:

Od lodowatych krain, gdzie Gotowie
Osiedli, straszny nadciągnął Totyla,
Obronne mury, baszty Perugii
Dzikiemi hordy opasał dokoła.

Następnie maluje trwogę i śmiertelną boleść mieszkańców, w miarę, jak nieprzyjaciel coraz bardziej ściska miasto, oraz niepokonany zapał biskupa, który gorącem słowem dźwiga upadającą odwagę.

Siedm lat Perugia broniła się, w końcu upadła przez zdradę. Biskup pada ofiarą swego poświęcenia:

Święta ofiaro strasznego Totyla
Z jego rozkazu pod miecz tępicielski
Błogosławioną kładziesz swoją głowę,
Sławę swą wieńcem zwiększając męczeńskim.

Wszystko to opowiedziane jest z siłą i plastyką, a znać, że Leon XIII. zaczytywał się pilnie w Wirgiliusza i Dantego.

Hymn do św. Konstancyusza, który był także biskupem perugijskim i umarł, broniąc wiary za panowania Marka Aureliusza, dzieli się na dwie części. Pierwsza przedstawia procesyę, postępującą do grobu św. Konstancyusza, położonego przy bramach miasta. Dzieje się to w zimie, 28 stycznia, wieczorem przy blasku pochodni. Dlatego w Perugii pochód ten zowie się: „suplicatio luminum.“

Zima się sroży, a mrozy straszliwe
Śnieżystym góry okryły całunem,
A wodnik deszczem z lodem pomieszanym
Chłoszcze zuchwale złotą głowę słońca.

Ale ani mróz, ani śnieg, ani mgła nie powstrzymują pobożnych pielgrzymów. Noc się zbliża, lud się ciśnie, w dali, w ciemności rysują się oświetlone, jakby płonące wzgórza:

Noc już zapada; tłum się zbija, ciśnie,
A tam w oddali z pośród nocnych cieniów
Niby ogniste światłości widziadła,
Świecące wzgórza jaśnieją cudownie.

Myśl, uczucie chrześcijańskie wyrażone w czystej formie klasycznej, stanowią główną piękność utworów Leona XIII., który, jak wiadomo, nie wypuszczał pióra z ręki do chwil ostatnich.

Ks. S. K.

Nie damy się!

(Czeskie hasło)
FRANCISZKA VRHLICKIEGO.

Nie nasze, lecz dobre to hasło, niech stanie
Nad Wisłą i Bugiem, nad Niemnem i Wartą,
Za program, pobudkę i wiary wyznanie!
Próżności, co kusi — lenistwu, co wabi,
Zwątpieniu, co truje — niezgodzie, co słabi,
Nie damy się przecie. Jednością my zwartą
Gdy chodzi o byt nasz! wraz wszyscy wołamy
„Nie damy się! Nigdy... przenigdy nie damy!“

Choć rozpacz nam szepce: „wy jutra nie macie,
Wy możnych praojców bezdome wnuczęta“.
My jednak nie siądziem w cierpień majestacie
Bezczynnie piać treny nad ojców mogiłą.
. . . .
Żyć, istnieć kto pragnie, niech każdy pamięta,
Że hasłem najświętszem na dzisiaj mieć mamy:
„Nie damy się! Nigdy, przenigdy nie damy!!“

Ni wiary, ni pieśni, ni serca, ni mowy,
Ni wspomnień przeszłości — ni jutra nadziei
Nie damy! Gdzie święty podwórzec domowy,
Tam wszyscy zastępem staniemy na straży,
Kobiety i dzieci i młodzi i starzy,
I wszyscy wartować będziemy z kolei,
Jak czujne brytany, co strzegą swej bramy:
„Nie damy się nigdy! Wszak prawda?... Nie damy!!!

Zabójstwo cara Pawła I.

23 marca 1801 roku.
(Dokończenie.)

Car był w szlafmycy, na koszuli miał tylko flanelowy kaftanik i stał bosy przed spiskowcami, którzy nie zdejmując kapeluszy i trzymając szpady w rękach, otoczyli go.

W chwili, gdy spiskowcy wchodzili do sypialni Pawła, rachując na pomoc Palena, ten ostatni odegrywając podwójną rolę, wchodził do pałacu z wojskiem z zamiarem pomagania przedsięwzięciu jeżeli się ono uda, lub aresztowania spiskowców w razie przeciwnym.

Platon Zubow wyjąwszy z kieszeni przygotowany akt zrzeczenia się tronu, zaczął go czytać. Paweł chcąc go wzruszyć, przypomniał mu jego niewdzięczność za łaskę, którą mu okazał.

— Ty już nie jesteś carem, teraz Aleksander jest naszym carem — odpowiedział mu.

Paweł oburzony tą zuchwałością uderzył go w twarz. Ta odwaga powstrzymała spiskowców na chwilę i zmniejszyła ich śmiałość.

— Panowie — zauważał wtedy Benigsen — tu idzie o nasze życie, jeżeli on się nam wymknie, my zginiemy wszyscy.

Te słowa wróciły przytomność spiskowcom. Mikołaj Zubow, który był siły atletycznej, uchwycił Pawła za rękę i złamał mu ją, potem z całej siły uderzył go w skroń złotą tabakierką, którą trzymał w ręku. Paweł upadł na ziemię; książę Jaszwil, Tatarinow, Gordanow i Skariotin rzucili się na niego z wściekłością i wyrwali mu z rąk szpadę; zaczęła się walka rozpaczliwa. Paweł choć i ogłuszony, był bardzo silny; spiskowcy przycisnęli go do podłogi, plwali mu w twarz, ciągnęli po pokoju, deptali nogami, bili po najdelikatniejszych częściach ciała i rączką szpady rozbili mu głowę okropnie. Benigsen nie mając w tem udziału, powtarzał tylko: „nie bronić się!“ Wiedząc, że koniec jego życia już blizki i nie chcąc zostawać przy obrzydliwej scenie morderstwa, Benigsen wyszedł do drugiego pokoju, w którym na ścianach było mnóstwo rycin i ze świecą w ręku najspokojniej zaczął je rozpatrywać.

Zadziwiająco zimna krew! Nie powiemy — zwierzęca dzikość, bo jenerał Benigsen był słynny z swego dobrego i miękkiego serca. Gdy później

dowodził armią i przychodziło mu jakiego marodera, złowionego na gorącym uczynku, skazać na śmierć, robił to zawsze ze smutkiem i z odrazą, zadając sobie wielki przymus. Kto objaśni takie sprzeczności w sercu człowieka?!

Paweł bronił się już tylko bardzo słabo. Skariatin zdjął z siebie szarfę i zarzucił ją na szyję cara; spiskowcy zaczęli go dusić. Paweł przesunął rękę pod szarfę i powiedział po francuzku: *„Messieurs, au nom du ciel epargnez moi..... laissez moi de..... prier..... Dieu.....“* To były ostatnie słowa jego. Benigsen wszedłszy do pokoju i widząc, że Paweł już nie żyje, podjął ciało jego, położył na łóżku i nakrył głowę kołdrą.

Palen wszedł do pałacu, gdy już było wszystko skończone. Kapitan gwardyi Majkow z trzydziestu żołnierzami otrzymał rozkaz zająć wejście do pokoju zmarłego cara i nikogo nie wpuszczać.

Cóż robiła wtedy warta zamkowa? Na dolnem piętrze warta siemionowskiego pułku, chociaż i słyszała szum na górze, ani ruszyła się z miejsca na obronę ginącego cara, chociaż wszyscy domyślali się, że nastąpiła ostatnia godzina jego. Naczelnikiem warty był kapitan z Gatczyńskich, nazwiska nie pamiętam. Jeden z oficerów znajdujących się pod jego komendą, podporucznik Połtoracki, należący do spisku i uwiadomiony, co miało zajść w tę noc w pałacu, razem z kolegą swoim aresztował naczelnika i objął dowództwo nad wartą.

W wewnętrznej warcie, w której stał przyboczny bataljon przeobrażeńskiego pułku, dowódzcą warty był porucznik Marjin. Usłyszawszy, że w zamku dzieje się coś nadzwyczajnego, starzy grenadjerzy podejrzywając, że cesarzowi grozi niebezpieczeństwo, zaczęli burzyć się; chcieli iść mu na pomoc. Jedna minuta, a Paweł mógł być zbawiony; lecz Marjin nie stracił głowy, lecz głośno zakomenderował: „baczność, na ramię broń!“ i przetrzymał ich w szeregach przez cały czas, aż spiskowcy ukończyli rachunki z Pawłem. Żaden nie śmiał się poruszyć. Takie były skutki dyscypliny, którą wprowadził Paweł w swojem wojsku; w szeregach żołnierze stawali się machinami.

Wielki książę Aleksander z żoną mieszkali wtedy w Michajłowskim zamku pod pokojami Pawła. W tę noc wielki książę nie rozbierał się i nie kładł się spać. Przy nim znajdował się jenerał Uwarow i adjutant jego książę Wałchoński. Benigsen pierwszy przyniósł mu wiadomość, za jaką cenę wstępuje na tron. Aleksander wpadł w nieopisaną rozpacz i trzymając się za głowę powtarzał ciągle: „teraz powiedzą, że ja zabiłem ojca mego; mnie obiecali, że się nie targną na jego życie! Ja najnieszczęśliwszy człowiek na świecie!“

Palen, który wszedł w tej chwili i który więcej był zajęty utwierdzeniem tronu jak opłakiwaniem zmarłego, zrobił uwagę, że ma stanąć przed wojskiem, że minuta słabości może pociągnąć za sobą najsmutniejsze skutki, i że cesarz nie może wstąpić w prawa swoje przed wydaniem manifestu o wstąpieniu na tron.

— A matka moja? co z nią będzie? — zapytał Aleksander.

— Cesarzu, ja idę do niej — odpowiedział Palen.

Przybywszy na pokoje Marji, żony Pawła, Palen kazał zbudzić stabs-damę hr. Liven i prosił ją, żeby powiedziała carowej o wszystkiem.

Rzecz godna zdziwienia, że cała ta okropna scena, odbywająca się obok sypialnego pokoju Marji, nie przerwała snu carowej. Gdy hr. Liven zbudziła ją, carowa myślała, że ją chce przygotować do nowiny o śmierci córki, arcyksiężnej węgierskiej.

— Nie najjaśniejsza pani — odpowiedziała hr. Liven — okropniejszą przynoszę nowinę: cesarz umarł na apopleksję.

— Ty mnie oszukujesz, on zamordowany!...

— Najjaśniejsza pani, z ściśnionem sercem muszę wyznać, że tak jest.

Carowa ubrawszy się na prędce, rzuciła się do pokoju Pawła. Stojący na warcie podporucznik Połtoracki objawił, że mu dano rozkaz nie wpuszczać nikogo.

— Czy ty mnie nie poznajesz?

— Najjaśniejsza pani, poznaję, lecz nie mogę przekroczyć rozkazu.

Carowa nie zważając na tę odpowiedź chciała iść naprzód. Na znak Połtorackiego żołnierze bagnetami zagrodzili jej drogę. Rozgniewana carowa uderzyła w twarz Połtorackiego i zemdlała. Dwie wielkie-księżniczki Marja i Katarzyna, znajdujące się przy matce, starały się ją ocucić i uspokoić. Przyszedłszy do siebie carowa poprosiła przynieść jej wody. Jeden z żołnierzy wziął przyniesioną szklankę z rąk lokaja i obróciwszy się do carowej wypił część wody, a potem podał szklankę mówiąc:

— Pani możesz pić śmiało, tu niema trucizny, jeszcze pani nie dałaś powodu do tego.

Carowa wróciła do swego pokoju. Palen wszedł do niej prosząc jechać do pałacu Zimowego dla uznania carem syna swego. Nie zważając na nieudawany smutek, w sercu jej zapaliła się chęć panowania. Carowa przypomniała, że Katarzyna II. panowała 34 lat bez żadnego prawa, a rachując na przywiązanie syna, miała nadzieję, że on jej tron odstąpi. Na wszystkie dowody Palena odpowiadała ciągle:

— *Ich will regieren! Ich will regieren!*

Gdy Palen wrócił do Aleksandra i opowiedział, co go spotkało, wielki książę okropnie zdetonował się:

— Tegośmy się zupełnie nie spodziewali, cóż robić teraz? — zapytał Palena.

— Najjaśniejszy panie — odpowiedział Palen — należy natychmiast jechać do Zimowego pałacu i ogłosić siebie carem.

Aleksander usłuchał rady. Tażsama kareta, która miała przewieźć uwięzionego Pawła do fortecy, posłużyła do przewiezienia Aleksandra do Zimowego pałacu. Palen i Zubow stanęli za karetą, bataljon gwardyi jej asystował. Benigsen otrzymał poruczenie pomówić z carową i wpłynąć na nią o tyle, żeby się wyrzekła swoich pretensyi.

Nie bez wielkiego trudu udało mu się to nakoniec. Żądza panowania w tej Niemce była tak wielką, że i w tę okropną noc, nad świeżym jeszcze trupem męża, przezwyciężyła i strach losu jego i uczucia matki i rady ostrożności i rozsądku.

Gdy Aleksander przybył do Zimowego pałacu, stabs-sekretarz Troszczyński napisał manifest o wstąpieniu na tron. Akt ten przyjęto u dworu z nadzwyczajną radością. Wszystkie gwardyjskie pułki i armja przysięgły natychmiast nowemu carowi.

Tymczasem w Michajłowskim zamku trupa zabitego i okrwawionego Pawła ubrano w mundur, masą jakąś zamazano twarz poranioną, włożono do trumny, wystawiono ciało na widok publiczny i rozgłoszono, że Paweł umarł naturalną śmiercią.

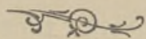
W przeciągu dwóch tygodni odbywały się żałobne nabożeństwa; zawsze gdy według ceremonji Aleksander był zmuszony zbliżać się do ciała zabitego ojca, car się trząsł jak w febrze, przestrach i przerażenie malowały się na jego twarzy. Wspomnienia okropnej sceny prześladowały go całe życie; zatruwały dni jego tajemnym smutkiem. Rozkosz władzy nie mogła zagłuszyć w sercu palącej zgryzoty sumienia, nawet w najszczęśliwsze, najświetniejsze chwile panowania swego — po wypędzeniu Francuzów z Moskwy. Aleksander znienawidził Palena, który skorzystał z niedoświadcze-

nia jego i wmówił mu, że można było pozbawić ojca tronu, nie pozbawiając go życia.

Wielki książę Konstanty, chociaż nie cierpiał ojca, o spisku nic nie wiedział do dnia ostatniego, bo lękano się jakiejkolwiek nieostrożności z jego strony; on więc mógł był, jeżeliby był chciał, z najspokojniejszym sumieniem opłakiwać śmierć nieszczęśliwego ojca.

23-go marca pochowano Pawła w petersburskiej cytadeli w soborze, gdzie są groby carów od czasu Piotra.

J. S.



KLUSZYN.

Wspomnienie historyczne z przeszłości.

(Dokończenie.)

II.

Wychodzące słońce czwartego lipca, oblało płomienną łuną uszykowany zastęp polski: płomieniem łysnęły szable i kopie polskie — i płomienną świetnością wionął w powietrzu czerwony proporzec Polski. Pod nim hetman, na rumaku niepokalanej białości — jak włos na głowie, jak dusza w piersi hetmańskiej. Z zachwytem patrzą wojownicy polscy w szlachetne oblicze swego wodza, jaśniejące wieńcem promieni słonecznych i świetniejszym jeszcze wieńcem promiennej wielkości duchowej.

A nad wodzem polskim, wysoko w powietrzu, orzeł zawisł — olbrzymi i nieruchomy i nieruchomem okiem nurzy się cały w widoku postaci hetmańskiej.

Czy wiecie, co to za orzeł? To orzeł z rodzinnych niw hetmana, z dalekiej Turynki, to ów orzeł, co niegdyś hetmana polskiego osłonił skrzydły swemi od palącego skwaru południowego słońca, gdzie będąc niemowlęciem, zostawionym był od niedbałej piastunki na otwartej błoni *).

Czegoś tu przybył siwy orle, piastunie hetmana? Czy i dziś przychodziś osłonić go skrzydły swemi od skwaru lipcowego? Albo przychodzisz widzieć go w promiennym blasku wielkości? Czegoś tak wzrok utkwił w białym orle? co nad hetmanem skrzydła swe roztoczył? Czy się tak napatrzyć nie możesz jego śnieżnej piękności? Czyś się tak w nim rozkochał, że jest kochankiem wypiastowanego od ciebie hetmana? O tak! Jak ty niezmierzone obszary powietrza, jak ty śmiałą swobodę lotu, jak ty promienną światłość jasnego słońca, tak hetman, piastunek twój, kocha tego orła białopiórego. Ten orzeł, ten kochanek jego duszy, to marzenie jego serca, to jasne słońce jego myśli. A jak ty lotem skrzydeł ciągle dążysz ku słońcu i nigdy z niego oczu nie spuszczasz, tak i hetman, piastunek twój, lotem dąży ciągle ku owemu orłu na proporcu Polski i nigdy zeń oczu nie spuszcza, i nigdy, nigdy, aż do ostatniej chwili skonu, oczu swych zeń nie spuści.

W tem orzeł w powietrzu głęboko na dół wytężył szyję, a okiem wrył się w hetmana; i rumak hetmański na ziemi stanął jak wryty pod swym jeźdźcem i wyprężył uszy, i wszyscy wojownicy Polski pochylili się naprzód, a cała dusza ich w ucho zbiegła — bo hetman mówi:

— Nie chciałem oczekiwać nieprzyjaciela, wolałem pójść mu naprzeciw, bo tak przystało wojownikom Polski. Ale nie myślcie, że idziecie na pewne zwycięztwo, bo nieprzyjaciel nasz lepiej od nas opatrzony w broń i w dowódzców, i pięćkroć silniejszy od nas. Czy ośmielicie się nań uderzyć?

Długi przeciągły okrzyk boju odpowiedział na hetmańskie zapytanie.

— Poznaję was, poznaję! To wy pogromcy Szwedów, Niemców i Tatarów, to wy, rycerze orła białego, co nieprzyjaciela dopiero po walce obliczają. A ten orzeł, to ten sam, co wiódł polskie hufce pod Kijów, Wrocław i Grunwald, ten sam, co was widział walczących pod Byczyną, Rewlem i Krasnostawem, ten sam, którego gromy huczały już nad wszystkiemi ludy, pomiędzy Łabą i Dnieprem. Dziś niechaj zahuczą nad podstępną Moskwą. Dziś czeka nas bój, co po wszystkie czasy wyrytym zostanie w dziejach Polski słonecznem pismem albo krwawemi rysy, bo to bój o sławę orła naszego, i w boju tym albo Moskwa w proch się ugiąć musi przed orłem Polski, albo my wszyscy z orężem polegniemy. Komu życie miłe, ten niechaj zostanie a za mną niech tylko ten ruszy, kto nad podłe życie woli śmierć wielką, bo my na śmierć idziemy, na świętą śmierć za orła Polski. Za mną! kto kocha Boga i Polskę!

— Boga Rodzico Dziewico!

A orzeł hetmański w powietrzu groźno załopotał skrzydłami i jak piorun strzelił naprzód, i rumak hetmański na ziemi, co dotąd jak posąg stał nieruchomy, jakby pojmując wysokie znaczenie słów hetmańskich, wspiął się w górę, zarżał głośniej od grzmiących trąb i sadził naprzód szalonemi rzuty, jak gdyby całą Moskwę chciał garnąć pod swe kopyta, a za nim warczą chorągiewki polskich grotów, szumią kity polskich szyszaków, połyskują szable w polskich dłoniach, ogniem zieją nozdrza do boju chciwie lecących koni polskich, i jak wicher, jak nawałnica, wpadli na wroga i konie, i jeźdźcy, a od piorunowego ich uderzenia odrazu kruszy i obala się całe lewe skrzydło moskiewskie i już tańcują konie polskie po tułowach nieprzyjacielskich.

Wtem nadciągnęła i piechota z dwoma działami i wypłoszyła Niemców na prawem skrzydle, co z pod ukrycia płotów strzelali do Polaków, którzy ich tam z konia dosięgnąć nie mogli, a Niemcy i Moskale wraz co tchu uciekać poczęli do poblizkiego lasu.

Ale jazda francuska i angielska jeszcze opór stawia Polakom, będąc równie w długie kopie zbrojna. Wnet skinął hetman na swych husarzy i na kozaków Piaskowskiego, na dół wraz zaszumiały dzidy. Sława Bogu! Sława Bogu! i jak chmury, gromy ciskające, uderzyli polscy wojownicy na żołdactwo cudzoziemskie.

Czy słyszycie ten twardy łoskot uderzającej stali? To polskie szable i kopie hulają po głowach wrażych, to gody, to huczne zapusty oręża polskiego. Hulaj, hulaj orężu polski! bo to Moskal podły, jak gad, co się kryje przed zbrojną stopą a syczącem żądłem godzi tylko w nogę bezbronną, to Moskal nikczemny, co nie ma Boga ni narodu, bo jego Bogiem jest żer obfity, a jego narodem to gromada, co wraz z nim za żerem chodzi po ziemi Bożej, hulaj orężu polski, bo to podłe żołdaki bez mózgu i bez serca, podlejsze od bydląt, bo się same na rzeź sprzedały, to plugawe wyrzutki wszystkich ludów tej ziemi, obrzydłe siepaki obrzydłych carów.

I hulał polski oręż, póki tylko wroga stało na polu Kluszyńskiem. Gdzież jesteś Jakobie Pontus? Gdzież szuba sobola, którąś przyrzekł hetmanowi polskiemu? Cóż to jest? I własną szubę cisnąłeś i broń rzuciłeś, i pędzisz lasami jak opętany! Gdzież ty jesteś kniaziu Szujski, wielowładny carze? I koronę carską zapomniałeś w Moskwie, i kolasy carskie porzuciłeś w obozie i na lichej szkapie, bez obuwia *) pędzisz przez chąszcze, bagna i bory, jak gdyby ci na karku siedziały wszystkie mary piekieł? Już cię ni okiem dojrzeć, ni uchem dosłyszeć, a ty pędzisz i pędzisz, zimnym potem śmiertelnej trwogi zlany?

Nie dziwcie się, bo mu jeszcze nad uszami warczą chorągiewki polskich grotów, nie dziwcie się, bo mu jeszcze dusza drży od piorunów polskiego uderzenia. Gdzież tedy owe nieprzyj-

*) Podanie ludowe.

*) Historyczne.

rzane tłumy moskiewskie? Gdzie Szkoty, Szwedy, Moskale, Angliki i Francuzi? Wszystkich zmiotło ramię polskie, jak wicher stepowy, a od strasznych gromów orła białego jedni skryli się w nory i bagna, a drudzy trupem legli na polu Kluszyńskiem.

A na polu Kluszyńskiem, na czerwonym proporcu Polski szeroko roztoczył swe skrzydła orzeł biały, śnieżny rumak hetmański dumnem w koło spogląda okiem i dumnemi ruchy niesie wielkiego wodza Polski do stolicy carów, która go kornemi przyjmuje pokłonami, a orzeł hetmański zakrakał okrzykiem tryumfu i strzelił w górę, by braciom orłom w obłokach, zanieść wiadomość o wielkim orle hetmanie na ziemi.



MARKIETANKA.

Z CYKLU: POD „MURAMI SARAGOSSY".

I.

Grzmi komenda: „Brać baterję!
Kompanjami! Biegiem, w szyku!“...
Stawiaj życie na loterję,
Zatracony żołnierzyku!

Stawiaj życie, żołnierzyku,
Za ten zapał, za te dreszcze,
Za wstążeczkę przy guziku,
Ach, i może... za coś jeszcze!

Gasi słońce dym prochowy,
Trup się kładzie, jako kwiaty:
Miga mundur granatowy,
Żółty kołnierz i rabaty.

Z mendla harmat Hiszpan pluje,
Grzęźnie noga w ziemi krwawej,
A na froncie maszeruje
Markietanka z pod Warszawy!

II.

Jak to niegdyś ze swej wioski
W gorseciku barwy maku,
By na odpust Czerniakowski,
Idzie z piosnką do ataku.

Z modrych oczu blask wylata,
Włos się rozwiał jak na psotę, —
Od kamrata — do kamrata:
„Naści, chłopcze, na ochotę!''

Naści, chłopcze, na ochotę,
Boś ty rekrut prosto z kraju!
Ino patrzaj w orły złote!
A maszeruj — jak do raju!

Ot, baterya! nuże w taniec!...
Dalej za mną, kto ciekawy!''...
I ze śmiechem, hyc! na szaniec
Markietanka z pod Warszawy!

III.

Ej, nie ujdziesz od pokusy,
Choćbyś skrył się za wrót cztery!...
Kaśkom, Baśkom śląc całusy,
Szli do Francyi grenadjery.

Rżnie kapela bezustanku,
Gore słonko w szabel lustrze,
A pułkownik na kasztanku
Paraduje jak na mustrze.

Stoi Maryś wedle rogu,
Do matusi woła z łzami:
„Polećcież mnie Panu Bogu,
Już ja pójdę z wojakami!

Oj, moiście! moi szczerzy!...
Dyć powrócę: Bóg łaskawy!''...
I przystała do żołnierzy
Markietanka z pod Warszawy!...

IV.

Trza mieć cnotę, jako słońce,
By na dystans być z kołyską:
W pułku chłopa dwa tysiące
Na to jedno dziewuszysko!

Ten próbował, ów próbował:
„Ba, honorna i zawzięta!''
Kto się nazbyt awansował,
Nie nasz miesiąc popamięta!

Wolniej ptak się rwie do lotu,
Niż jej ręka gdzie twa gęba! —
Sam gromażor z pod namiotu
Kiedyś chyłkiem dawał dęba!

„Co jest — to jest! więcej niema!
Szukaj innych do zabawy!...“
Jak w cekhauzie serce trzyma
Markietanka z pod Warszawy!

V.

Oj, kochanie! krętu wętu!
Aż do serca trafi drzwiczek!
Jest gagatkiem regimentu
Zawadjacki poruczniczek.

Pół anioła, pół narwańca,
Język — pytel! oczy świeczki!
A do bitwy, jak do tańca,
Kładzie białe rękawiczki!

Gdy w namiotach wiara pośnie,
Gdy lśnią gwiazdy w nocną ciszę,
On w nie patrzy tak żałośnie
I na bębnie wiersze pisze!

Niech się ino sercem nagnie,
Wróci do niej wzrok ten łzawy,
Da mu wszystko, co zapragnie,
Markietanka z pod Warszawy!

VI.

Czy to ludzie, czy kolosy?
Jaki impet! krzyku Pański!...
Na reduty Saragossy
Wali *pierwszy nadwiślański!*

Błyska płomyk za płomykiem,
Od kurzawy noc się czyni...
Markietanka z porucznikiem
Maszerują w jednej linii.

W gorseciku pierś szeleści,
Z lic wstydliwość lśni niewieścia:
Ma porucznik lat trzydzieści,
Markietanka ze dwadzieścia!

Obóz cichy, jak mogiła,
O świtaniu atak krwawy...
Piłaż rozkosz — piła — piła,
Markietanka z pod Warszawy!

VII.

Śniady Hiszpan długo mierzy,
Długo mierzy — aż wypali!
I wylata kula z wieży,
Leci dalej — dalej — dalej!

Oj, ma dziewczę dobre oczy!
Dobre oczy — kochające!
Krzyknie: „Jezus!“ Krzyknie — skoczy
I zasłania swoje słońce.

Z czerwonego gorsecika
Płynie ciurkiem taśma kręta,
I w ramiona porucznika
Pada Maryś uśmiechnięta.

Twarz się bieli: lilja szczera!
Ale słychać głos wśród wrzawy:
„Hej, kamracie! tak umiera
Markietanka z pod Warszawy...“

Or-Ot.



Wycieczka do Aten.

Napisał ***Henryk Sienkiewicz.***

....Wyjeżdżając ze Stambułu do Aten, na francuzkim statku Donnai, miałem przed sobą najpiękniejszy widok, jaki w świecie mieć można. Dżdżyste od kilku tygodni niebo wypogodziło się nakoniec zupełnie i zarumieniło się wspaniałą zorzą wieczorną. Pobliski brzeg azyatycki zalany był światłem; Bosfor i Złoty Róg wyglądały, jak olbrzymie ogniste wstęgi, a Pera, Galata i Stambuł, ze swemi wieżami,

z kopułami i minaretami meczetów, tonęły w złocie i purpurze.

Donnai zwrócił dziób ku morzu Marmora i począł burzyć zlekka wodę, przeciskając się ostrożnie wśród natłoku statków parowych, żaglowców, łodzi, łódek i kaików. Konstantynopol jest jedną z lepszych ostoi morskich w Europie, to też u stóp tego miasta, panującego ze stromych wiszarów dwom morzom, roi się drugie miasto — okrętów. Jak nad tamtem minarety, tak nad tem sterczą maszty — nad niemi zaś tęcza chorągwi. I nie jest ono mniej gwarne. Tu, jak tam, mieszanina języków, ras, barw skóry, strojów. Ujrzysz tu wszystkie typy, jakie tylko zamieszkują przyległe trzy części świata, począwszy od Anglików, skończywszy na półdzikich mieszkańcach Azyi mniejszej, którzy ściągnęli do stolicy, aby jako „kaidży‘‘ zarabiać na kawałek chleba.

Minęliśmy przylądek, za którym wznosi się Stary Seraj.

Pera, Galata i Stambuł poczęły zlewać się w jeden spiętrzony gród, którego krańców oko nie sięga. Ni Neapol, ni żadne inne miasto w świecie, nie może się równać z tą przepyszną panoramą. Wszystkie opisy, począwszy od Lamartina aż do Amicisa, są tylko bladem odbiciem rzeczywistości, bo słowa ludzkie są jeno dźwiękiem, więc ni barw, ni tych kształtów — to smukłych i powietrznych, to olbrzymich i groźnych — oddać nie potrafią. Chwilami zdawało się, że cały gród zaczarowanych pałaców wisi w powietrzu, to znów byłem pod wrażeniem takiego majestatu, ogromu i potęgi, jak gdyby z tego miasta dotychczas jeszcze szedł strach na całą Europę i jakby w wieży Seraskieratu dziś, tak samo jak ongi, ważyły się losy świata.

Z morza Marmora już tylko największe budowle rozróżnić można gołem okiem; więc, prócz starego Seraju, część murów Jedykuły z siedmiu wieżami, świętą Zofię, Sulemanje i wieżę Seraskieratu. Zwolna stopy miasta zasuwają się coraz bardziej pod wodę: kryją się naprzód mury obwodowe, potem niższe szeregi domostw, potem wyższe, potem meczety i ich kopuły. Miasto zdaje się tonąć. Na niebie ściemnia się także — tylko na strzeliste minarety padają jeszcze ostatnie czerwone i złote blaski. Rzekłbyś: tysiące olbrzymich świec, zapalonych nad niewidzialnym już grodem.

Jestto godzina, w której muezinowie wychodzą na ganki i wzywając wiernych do modlitwy, oznajmują na cztery strony świata, że Bóg jest wielki i że noc boża pada na ziemię.

Jakoż nadchodziła noc, nietylko boża, ale pogodna i gwiaździsta. Jestto pora rozmyślań, a że losy przyszłego pokoju lub wojny ważą się istotnie w okolicach tych cieśnin, więc trudno się obronić przewidywaniom politycznym. Jednakże nie będę się niemi zajmował. Niech to czynią dzienniki. Jeżeli przyszłość kłam im zada — sądzę — nie zniechęci ich do tego fachu. Mnie, jako powieściopisarzowi, nasuwa się na myśl uwaga natury bardziej literackiej, którą zresztą rzucam tylko nawiasowo.

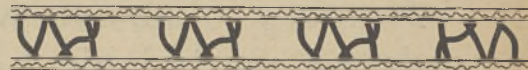
Oto, przyszło mi do głowy, że te blaski zorzy wieczornej, te morza płonące, pałace i minarety skąpane w purpurze i złocie, są czemś zupełnie równie rzeczywistem i realnem, jak psy zdechłe, leżące dziesiątkami po ulicach Stambułu. Istnieje wszakże szkoła powieściowa, której przedstawiciele a zwłaszcza szary ich koniec, woli opisywać psy zdechłe, niż niemniej realne zachody słońca, błękitne roztocze morskie i podobne cudne widoki. Dlaczego? Zapewne istnieją rozliczne przyczyny, ale między niemi niezawodnie i ta, że do odmalowania piękna w całym jego blasku, potrzeba mieć więcej siły i więcej farb na palecie, niż do odmalowania obrzydliwości — i że wogóle łatwiej jest poruszyć ślinę, niż duszę.

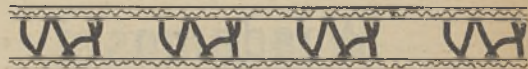
Ale nie zamierzam prowadzić polemiki; dlatego wspomniałem o tych rzeczach tylko nawiasowo, poczem idę za biegiem okrętu. Statki pocztowe, wychodzące wieczorem [illegible] Stambułu, stają o brzasku w Dard[illegible]ch, a świtaniem wychodzą na Ar[illegible]lag. Jesteśmy więc w Dardane[illegible]. Statek posuwa się wśród dwóch wązkich brzegów, na których widać forty i czarne paszcze dział, wyglądające z obu stron na cieśninę.

Po chwili stajemy, bo statek przed wyjściem z tej gardzieli musi okazać papiery i wylegitymować się: zkąd i dokąd płynie. Brzegi wydają się jałowe, zarzucone skałami, które, wietrzejąc, kruszą się i tworzą osypy kamieniste. Krajobraz cały, lubo właśnie słońce wschodzi w tej chwili i wyrzeźbia ślicznie wszystkie jego zarysy, wydaje się smutny i ubogi. Sama cieśnina węższa od Bosforu, a nawet od Wisły. Po prawej stronie bieleją domostwa Gallipoli, których nędzę i opuszczenie zdaleka nawet poznać można. I znów przychodzi na myśl pytanie, które na wschodzie przychodzi niemal wszędzie — w Ruszczuku, w Warnie, w Burgas, w samym Stambule: zali to są te kraje, o które wylało się już tyle krwi ludzkiej, że możnaby nią całą tę cieśninę wypełnić? Zali dla tych miast, nawpół zapadłych w ruinę, zamieszkłych przez nawpół żebraczą ludność, dla tych jałowych pól, bezpłodnych skał, wydają się miliony, utrzymują się olbrzymie armie — i życie upływa pokoleniom ludzkim w niepewności dnia i godziny? W Dardanellach tembardziej każdy musi sobie zadać to pytanie. Są okolice, których głównym wyrazem jest dzikość, albo melancholia — ale nie zdarzyło mi się widzieć krajobrazu, któryby tak wyraźnie mówił: jestem starością i wyczerpaniem się, jestem opuszczeniem i nędzą! A jednak w tej cieśninie leży jądro całej kwestyi. Nie tyle chodzi o Bosfor, nietyle o sam Carogród, ile o Dardanelle. Ta wązka szyba wody, ten skalisty kurytarz, jest jedynem oknem i drzwiami, które z tych stron na świat prowadzą.

„Czy pan czytałeś o owych sznurkach (mówił do mnie towarzysz podróży, anglik), które sułtanowie posyłali niegdyś wielkim wezyrom lub niefortunnym wodzom? Otóż ta cieśnina jest takim sznurkiem: można nim zadusić morze Czarne i sam Konstantynopol.‘‘

(Ciąg dalszy nastąpi.)



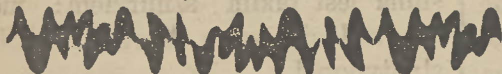


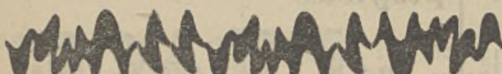


faktach historycznych z r. 1815, jest tak interesująca, że trudno się od niej oderwać.

Początek tej powieści dostarczymy nowym abonentom bezpłatnie i franko.







Wiadomości.

— **Żałobne nabożeństwa uroczyste** za spokój duszy wiekopomnej pamięci Wielkiego Papieża, Leona XIII, odprawiły się w ostatnim czasie we wszystkich kościołach obudwóch archidyecezyi naszych. Na nabożeństwach tych wierni przepełnili świątynie Pańskie.

Na nabożeństwie uroczystem, odbytem dnia 23-go z. m. w archikatedrze tutejszej, zapełnionej pobożnymi świątynia przybrana była w kiry i zieleń. Po wigiliach i Mszy św. odprawił celebrujący członek kapituły kondukt ad tumbam. Na katafalku widniały insygnia papieskie i portret zmarłego Papieża. Serdeczną a rzewną pieśnią naszą „Witaj Królowa" zakończono nabożeństwo.

— **P. Nepomucen Kierski** — pisze „Goniec Wielkopolski" — z całą energią rozpoczął walkę z redaktorami gazet polskich, jakoby w obronie „honoru swego, familii i szczerych przyjaciół", w obronie honoru rzekomo niewinnie shańbionego mianem agenta komisyi kolonizacyjnej. Świeżo miał p. Kierski dzięki energii swej aż 8, wyraźnie osiem terminów przed sędziami polubownymi przeciw redaktorom pism, które swego czasu opisywały jego stosunek do komisyi kolonizacyjnej. Pomimo wysiłków sędziego polubownego w celu pogodzenia stron i propozycyi warunków, pan Kierski ani słuchać nie chciał, jeno skarży wszystkich redaktorów o „obrazę honoru!"

I naszemu odpowiedzialnemu redaktorowi, p. Józefowi Lissowskiemu, oraz naszemu wydawcy i właścicielowi „Pracy", p. Marcinowi Biedermannowi, wytoczył p. Kierski procesy.

Nadmieniamy nareszcie, że pan Nepomucen Kierski pochodzi z tej rodziny Kierskich która, już blizko przed pół wiekiem sprzedała piękną wieś Podstolice w powiecie średzkim, przechrzconą na „Tischdorf", ówczesnemu królowi pruskiemu. Wieś ta dotychczas jest własnością pruskiej rodziny królewskiej.

— **Komisya kolonizacyjna** kupiła: Bronisżewice w powiecie pleszewskim, około 5000 mórg, od braci Brandtów; Wielka wieś w powiecie babimojskim, około 7000 mórg, od radzcy landszafty Kühna z Zalesia; Białężyn w powiecie obornickim, około 2000 mórg, również z rąk niemieckich. Z Austryi sprowadzono blizko 100 niemieckich kolonistów z rodzinami celem osiedlenia ich w dobrach komisyi kolonizacyjnej w powiecie wągrowieckim. Każda rodzina otrzyma 60 mórg ziemi.

— **W sprawie składek dla powodzian**, urządzonych przez władze rządowe, pisze „Dziennik Śląski:"

„Powódź wyrządziła wiele szkody na całym Śląsku. Państwo pruskie powinno postarać się o wynagrodzenie całej szkody i uregulowanie rzek, tymczasem naczelny prezydent i wszystkie władze proszą o ofiary, wyciągają ręce po wsparcie dla powodzią dotkniętych. Taki porządek jest nagany godny. Skoro państwo wydaje setki milionów na wojsko i marynarkę, na rozmaite mniej potrzebne cele, to powinno wydać co najmniej dziesiątki milionów przedewszystkiem na zabezpieczenie od powodzi."

— **Wielki hotel z salą, ogrodem** i przyległościami jest na prowincyi na sprzedaż pod korzystnemi warunkami. Bliższe szczegóły zamieszczone są w ogłoszeniu, na które zwracamy Szanownej Publiczności baczną uwagę. Nadarza się nadzwyczaj dobra sposobność kupna dla rodaka, któryby pragnął się osiedlić między swoimi i prowadzić bez wszelkiego ryzyka interes, przynoszący pewne i to znaczne dochody.

— **Wielka zabawa ludowa** t. zw. festyn żniwny na rzecz ... i z udziałem artystów sceny naszej, którym los poskąpił możności zarobkowania na prowincyi, odbędzie się w najbliższą niedzielę dnia 2-go sierpnia w Parku Wiktoryi.

Program artystyczny, doborowy i obfity, wykonany zostanie tym razem na estradzie koncertowej, widocznej dokładnie z wszystkich części ogrodu.

Z pomiędzy ciekawych atrakcyi wymienimy na razie tylko *grę kostkową o fanty*, których pokaźna liczba w wielkiej części kosztownych przedmiotów, dzięki życzliwej ofiarności publiczności naszej, została dotąd zgromadzoną i z każdą chwilą się powiększa. Podobno jeden z pp. dostawców mięsa nosi się z myślą ofiarowania na ten cel..... żywego cielęcia.

— **Wysyłkę** tegorocznych ogórków kiszonych rozpoczęli pp. Stabrowski i Szmytkiewicz w Poznaniu W. 6.

— **Skład** towarów krótkich i bielizny otworzył p. Edmund Cynka w Szamotułach przy Rynku naprzeciw dawniejszego odwachu. Polecając to nowe przedsiębiorstwo rodaka łaskawym względom Szanownej Publiczności, życzymy p. Cynce najlepszego powodzenia.

— **Zwracamy uwagę** na anons firmy Szczeciński hurtowny handel śledzi i nafty Maciejewski i Sp., Poznań, W. Garbary 23, która poleca co tylko nadeszłe *nowe szkockie śledzie*, oraz matjasy, margarynę i naftę, we wszelkich gatunkach po cenach hurtownych.

— **Fabrykę** tutejszą papierów pod firmą „F. Polakiewicz" nabyła na własność Spółka, składająca się z następujących osób: p. Wincentego Wąsowicza, p. Leona Tulewicza i pani Maryi Wąsowiczowej i takową nadal pod firmą „F. Polakiewicza Nast. W. Wąsowicz" nadal prowadzić będzie.

Życząc Spółce jak najlepszego powodzenia, polecamy jej fabrykaty łaskawym względom Szan. Publiczności.

— **Szanowne Czytelniczki** odsyłamy do ogłoszenia księgarni pod firmą A. Cybulski w miejscu. Dotyczy ono bardzo ważnego wydziału kobiecego gospodarstwa, t. j. kuchni. Nie jest bynajmniej przesadnem twierdzenie, iż oszczędna i dobra zarazem kuchnia jest nawet podwaliną szczęścia domowego. Ona probierzem uzdolnienia, zaradności, gospodarności, a nawet pomysłowości rzekłbym — każdej pani domu. Rodzicom zatem, którym los ich córek na wydaniu nie jest obojętnym, mężatkom nawet samym radzimy korzystać z nadarzającej się sposobności. Kupujcie więc, Szanowne Panie, najsłynniejszą na całą Polskę książkę kucharską ś. p. Lucyny Ćwierciakiewiczowej p. tyt. „365 obiadów" po cenie o połowę odtąd niższej.

Zmarli.

† Ś. p. *Tadeusz Pawłowski* dnia 18 z. m. w Buku.

† S. p. *ks. Jan Nepomucen Marchwicki*, proboszcz z Obrzycka, dnia 22-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy 54 lata. Urodził się w r. 1849, otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1876, był proboszczem w Obrzycku od r. 1886.

† Ś. p. *Marya Wysocka*, córka Emila Kierskiego i Melanii z Żychlińskich dnia 20-go z. m. w Kraśniku w gubernii Lubelskiej.

† S. p. *Michał Dorszewski*, nauczyciel emerytowany, dnia 28-go z. m. w Rogoźnie.

Wiadomości literackie.

— **Pałka Madeja.** Widowisko fantastyczno-alegoryczne w 5-ciu odsłonach ze śpiewami i tańcami opracował Józef Chociszewski. Cena z przesyłką 1,60 m.

„Pałka Madeja“, opracowana jest wiernie podług podań ludowych, zachodzą nawet wierne dosłowne ustępy z gminnych powieści. Można widzieć w tym ludowym dramacie taniec zbójecki z toporami, walkę anioła z czartem o duszę człowieka, szopkę krakowską, taniec leśnych rusałek itd. Rozrzewniająca jest scena, gdy siwy biskup błogosławi Madeja pod jabłonią ze złocistemi jabłkami. — „Pałkę Madeja“ należy także odgrywać po większych wsiach, aby sprawić ludowi rozrywkę i zachęcić do cnoty. — Zamawiać pod adresem: *J. Chociszewski — Gniezno.*

— **„Tygodnik polski.“** Pod tym tytułem wychodzi we Lwowie od 1-go lipca r. b. pismo tygodniowe, poświęcone polityce, życiu społecznemu i ekonomicznemu, sztuce i literaturze. Treść numeru 1-go jest następująca:

Artykuł wstępny. Od Wydawnictwa. Zwycięztwo Polaków przy wyborach do parlamentu niemieckiego, przez „Wielkopolanina.“ — Kto winien, przez P. — Leon XIII i Polacy pod zaborem rosyjskim przez A. Sz. Z trzech zaborów: Od rodzenie narodowe Górnego Ślązka, przez S. Z. Z Królestwa Polskiego, przez Królewiaka. Bund, przez Socyalistę. — Z wychodźtwa: Polacy w Stanach Zjedn. północnej Ameryki, przez P. P. — Z zagranicy: Z wnętrza Rosyi, przez Wł. Studnickiego. — Leon XIII i kwestya socyalna, przez A. R. — Biurokracya, przez Józefa Olszewskiego. — Z życia młodzieży przez Z. E. — Wiadomości bieżące. — Z prasy. — Co czytają nasze panienki, przez &. — Kronika. — „Vox moritura“ przez Adama Stegbauera. „Czekam cię“ nowela Ignacego Dąbrowskiego. — „Mara“ tłómaczenie z francuzkiego oryginału M. Prevosta.

Redaktorem i wydawcą jest p. Mrowinczyc. — Adres: Lwów, ul. Podlewskiego L. 6. Przedpłata wynosi ćwierćrocznie 5 kor., egzemplarz 60 hal.

Ruch w Towarzystwach.

— **Krobia.** Czołem! Dnia 2 sierpnia odbędzie się tu Zlot Sokołów nowo utworzonego okręgu południowego, na który przychylnych Towarzystwu uprzejmie zaprasza

Zarząd.

Od Redakcyi.

Panom A. H. i St. S. w Gostyniu. Towarzystwo to istnieje w Poznaniu. Bliższych informacyi udzieli chętnie lekarz p. C. Rydlewski, św. Marcin.

Panu Ludwikowi Z. w Stanisławowie (Galicya). — Z oferty Szanownego Pana na razie korzystać nie możemy.

Panu Janowi T. w Szwarcenowie, Pr. Zach. — W tej sprawie możemy Szanownemu Panu zamieścić bezpłatne ogłoszenie. Wskazaniem miejsc zajmują się kantory, pośredniczące w wakansach, a nie redakcye pism.

Panu Władysławowi W. w Herrnkirch. — Adres: „Technische Hochschule zu Berlin — Charlottenburg, Berlinerstrasse 151.“ Bliższą informacyą służyć nie możemy, udaj się Pan wprost po nią pod wskazanym adresem.

Panu M. M. w Suchorączku. (Suchorączek). — Jeżeli komisya wojskowa nie uwzględniła reklamacyi ojca Pańskiego, to niechaj tenże prosi urząd radzcy ziemiańskiego (landrata), aby zechciał reklamować Pana u 149 pułku piechoty lub przynajmniej reklamacyę tę poprzeć u władzy wojskowej. Prawa, któreby przepisywało, kogo mają od czynnej służby wojskowej zwolnić lub nie, nie ma, a przynajmniej prawa takiego nie znamy.

— ***Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zaguibienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.***

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“

Szanownych Czytelników
w Galicyi
i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

2 kor. 30 hal.

wprost do administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 1 kor. 47 hal.

W numerze 12-tym rozpoczęliśmy druk bardzo pięknej, dwutomowej powieści, osnutej na tle stosunków alzackich z ostatniej wojny francusko-niemieckiej p. t.

Pod pruskim zaborem.

Powieść jest bardzo zajmująca, rozczulająca i owiana prawdziwą miłością ojczyzny.

Początek bardzo obszerny tej powieści — cały tom pierwszy i dużo z tomu drugiego — otrzyma każdy nowy abonent gratis i franko.

BACZNOSC!

Do dzisiejszego numeru „Pracy“ i to tylko do nakładu pocztowego, dołączamy jako dodatek nadzwyczajny cennik fabryki H. Cegielski, Towarzystwo akcyjne w Poznaniu, dotyczący lokomobil i innych narzędzi rolniczych.

Dział kobiecy.



Sztuka wybierania żony.

Sar Peladan, głośny swego czasu na bruku paryskim mistyk, pisarz niepozbawiony talentu, twórca sekty, która przez czas pewien miała nawet licznych zwolenników, a nosiła nazwę *„Rose †"* (= *Rose croix*) — zapragnął wzmocnić cichnący rozgłos swego imienia i napisał książkę p. t. *„L'art de choisir sa femme d'après la physionomie"* (Sztuka wybierania żony według oblicza). Widocznie niepowodzenie we własnem pożyciu małżeńskiem — Sar rozwiódł się z żoną — przekonało go, że towarzyszkę życia, jeśli ma być dozgonna, wybierać należy z rozwagą, według pewnej metody racyonalnej, naukowej, mniemaniem Sara.

Rozpoczyna tedy Sar traktat swój od podziału kobiet na 14 grup głównych i kilka podrzędnych; miarodajnym zaś dla tego podziału był wpływ słońca i planet na los człowieka. Takie zużytkowanie wpływów astralnych nie jest nowe, więc też Sar przypomina, że Wenus w dalszym ciągu jest wyobrażeniem miłości, Jowisz porządku, słońce geniuszu, księżyc snu, Merkury dostosowania się, Saturn myśli, Mars czynnej działalności. Ponieważ zaś nadto każda gwiazda, oddziaływająca na narodziny istoty ludzkiej, posiada moc uposażenia dziecka na drogę życia błogosławieństwem lub klątwą, przeto należy rozróżnić czternaście typów czystych: dobroczynna lub złośliwa Wenus, wspaniałomyślny lub gniewny Jowisz i t. d. I na tem tle snuje Sar swoją charakterystykę i, na podstawie głębokich, jak zapewnia, badań, przychodzi do wcale zajmujących wniosków.

Tak np. Sar przyszedł do przekonania, że złośliwa *Venusienne* (zachowujemy nazwy francuskie, gdyż nie nadają się do przekładu) jest barczysta, a potulna *Jupitérienne* poci się często; cicha *Lunarienne* składa zazwyczaj dłonie na kolanach, a siedząc pochyla się naprzód; wieszcie łagodna *Saturnienne* chodzi wolno i ze spuszczonemi oczyma. Wpływy Saturna i Marsa są najsmutniejsze. Każda *Saturnienne* jest kobietą, mającą dużo rozumu, a mało serca, surową, ostrożną, zimną, nudną; gdy kocha, to bez polotu, gdy się starzeje ulega najczęściej porażeniu apoplektycznemu. A taki jest typ dobry. Kobieta *Saturnienne* typu złego, ma wybitną skłonność do kilkakrotnego owdowienia i samobójstwa, przy pomocy trujących gazów lub wyskakiwania oknem. *Marsienne* jest kłótliwa, despotyczna, je dużo, a ma szczególne upodobanie do — wisien. Na małżonka wybiera najchętniej mężczyznę małego, łagodnego i spokojnego, którego może opanować.

Merkury nadaje zmysł praktyczny i rozsądek. *Lunarienne* to znów kobieta niestała, rozmarzona, chciwa wrażeń, wielbicielka poetów, rozbójników i czarnoksiężników, ze skłonnościami do sztuki i do mistycyzmu. Wogóle jest osobą „lekką", a na morzu należy baczyć na nią pilnie, gdyż powietrze morskie wywiera na jej cnotę wpływ szkodliwy. *Solarienne* to zazwyczaj kobieta bardzo czcigodna, rozumna, moralna i dumna. W miłości bywa często nieszczęśliwa, jako żona — to istna perła, zwłaszcza dla poetów, myślicieli i artystów Natomiast pełna wyniosłej godności i obdarzona praktycznym zmysłem życiowym *Jupiterienne* jest, jakby stworzona dla ambitnego urzędnika lub dla walecznego generała.

Najidealniejszym typem żony jest wszakże piękna, dobra, słodka *„Venusienne*, która ma szczególne upodobanie do — lekarzy, jubilerów, ogrodników i fabrykantów wachlarzy. Szkoda tylko, że Sar nie dodaje, czy mężczyźni tych zawodów odpowiadają jej uczuciom; wiadomo mu natomiast dokładnie, że kupcy i inżynierowie są wielkimi wielbicielami typu *„Venusienne."*

Cenne wskazówki Sara powinni młodzieńcy wziąć do serca, a ponieważ jest ich ilość spora, uzbroić się w tego „Bädeckera" *sui generis* i przy jego pomocy wyruszać do ataków salonowych.

Kobiety organistami.

Organista w katedrze w Würzburgu został niedawno usunięty z posady, a na jego miejsce mianowano kobietę. Wypadek ten nie jest odosobnionym. We Francyi istnieje obecnie cała rodzina kobiecych organistów, w której talent przechodzi dziedzicznie z generacyi na generacyę. Progenitorką tej rodziny, której na imię Couperin, była Anna Marya Couperin, żyjąca w XVII stuleciu. Grała ona tak znakomicie na organach i na spinecie, że, mimo, iż zakonnicą nie była, mianowano ją organistką w zakonie arystokratycznych Sióstr Serca Jezusowego. W następnem stuleciu Antonina Aniela Couperin, mając lat 16, mianowaną została organistką w słynnym kościele St. Gervais. Młoda ta dziewczyna była prócz tego śpiewaczką i artystką, i skomponowała kilka pieśni kościelnych, które dziś jeszcze są w użyciu. Córka jej, Ludwika Couperin, wyszła za fabrykanta fortepianów, Blancharda. Miała ona taką wprawę w grze na organach, że gdy poświęcano kościół św. Ludwika w Wersalu, arcybiskup paryski wezwał ją, by podczas tej uroczystości objęła grę na organach. Miała ona podówczas 82 lat, mimo podeszłego wieku jednak tak znakomicie wywiązała się z zadania, iż od króla otrzymała odznaczenie.

Śmietana i kobiety.

Rodzaj pożywienia wpływa na umysł. Wychodząc z tej zasady, Amerykanka miss Gracya Dodge, wszczyna kampanię przeciwko śmietanie, dowodząc, że kobiety pod względem umysłowym stoją niżej od mężczyzn dlatego tylko, że jedzą za dużo ciast i potraw, w które wchodzi śmietana. Ztąd wniosek, że sprawa emancypacyi kobiet zostanie rozstrzygniętą z chwilą, gdy zupy zabielane, leguminy i ciastka z kremem będą wyłączone z jadłospisów. Warto spróbować....

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Jak żyje robotnik z rodziną na Górnym Slązku?

Dla familii robotniczej okręgu przemysłowego na Górnym Slązku, składającej się z męża, żony i 3 dzieci, prowadził robotnik należący do Związku zawodowego sumiennie książkę, w którą zapisywał wszelki dochód i rozchód. Każdą najmniejszą kwotę zaciągał do niej i nie pominął ani fenyga. Berliński organ związkowy zrobił z wzmiankowanej książki zestawienie, z którego podajemy następujące dane, aby wykazać, jak trudno jest rodzinie robotniczej za zapracowany ciężko grosz się wyżywić oraz inne niezbędne potrzeby zaspokoić.

W roku 1902 wynosił zarobek owego robotnika mk. 824,07, nadzwyczajny mk. 3,00, razem więc było dochodu mk. 827,07. *Rozchód* zaś roczny przekroczył tę sumę o mk. 10,62 tak że kwotę tę zapisano jako dług na r. 1903. Wydatki na życie musiano przytem ograniczać, aby większego długu nie zaciągnąć.

Rozchód rozdziela się na niezliczoną ilość małych potrzeb. Najwięcej kosztował *chleb*, który jest dla rodziny robotniczej najniezbędniejszym środkiem spożywczym. Wydano na ten cel: mk. 83 na mąkę, mk. 6,50 na pieczenie, na młodzie 20 fen., mk. 14,40 na bułki, mk. 2,90 na chleb biały i t. d., razem więc mk. 113,10 na chleb.

Za ziemniaki zapłacono okrągło mk. 20,00, za jarzyny, cebulę, kapustę, owoc etc. mk. 39,91. Oszczędnie gospodarzyć musiano mianowicie przy zakupnie mięsa. Wydatek na mięso, masło, okrasę i t. d. wynosił mk. 180,80 czyli dziennie *niespełna 50 fen.* na rodzinę, składającą się z *5 osób*.

Zakupiono jaj za mk. 1,80, grochu za mk. 3,00, krupniku za mk. 3,50, ryżu za mk. 3,00, śledzi za mk. 3,50, kości do zupy, soli, pieprzu, octu, cytryn i t. d. razem za mk. 23,55.

Wydano na rozmaite napoje mk. 70,40 a mianowicie na kawę mk. 12,30 mleko 28,50, cykorya 3,00, cukier 25,00, czekoladę i herbatę mk. 1,00. Wydatek na napoje alkoholiczne, cygara i tabakę był bardzo mały. I tak kupiono araku, za 20 fen. okowity za 65 fen. piwa za 11,80, mk. wina za 2 mk. tabaki za 50 fen. cygar za 2 mk. razem za mk 18,15

Na pożywienie rodziny składającej się z 5 osób wydano w ciągu jednego roku tylko mk. 445,90. Przy tak skromnem pożywieniu, jak z powyższego zestawienia się przekonujemy, ma ojciec rodziny być do pracy zdolny, a żona i dzieci cieszyć się zdrowiem?! Przeciętnie wydano dziennie na życie jednej osoby 24 fen. Podziwiać można doprawdy żonę robotnika, która za te pieniądze patrafiła gospodarzyć.

Gdyby cały dochód rodziny robotniczej obrócić można tylko na pożywienie tejże, byłoby jeszcze nieźle, do życia potrzeba jednakże czegoś więcej. Nasamprzód komorne za mieszkanie, które wynosiło mk. 100,60. I opał też nie tani. Węgle kosztowały mk. 51,20 spotrzebowane drzewo mk. 4,70, światło 9,14 mk. Wydatki więc na mieszkanie, opał i światło wynoszą nie mniej jak 165,64 mk.

Brak jeszcze dla famili potrzebnego przyodziewku. Mąż potrzebował na ubranie odświętne mk. 25,75, na ubranie do pracy 15,00 mk. na czapkę 3 mk. żona wydała na siebie tylko 14,70 mk. Na kapelusze i rękawiczki zapisano 4 mk. prawdopodobnie dla żony. Na przyodziewek dla dzieci wydano mk. 19,80 Na bieliznę mk. 7,10, wełnę 7,00 mk. guziki i nici 1,20 mk. Dochodzi jeszcze obuwie; kosztowało nowe obuwie mk. 18,00, reparacya mk. 9,00, skóra do podeszew mk. 1,00 gwoździe i ćwieki 20 fen. i drzewo do pantofli mk. 2,40. Razem więc wydano na odzież i obuwie mk. 128,15.

Na pranie, mycie i czyszczenie zapisano następujące pozycye: mydło 8,00 mk. soda 1,50 mk. woda 3,00 mk. modre do bielizny 20 fen, proszek do prania 1,20 mk. magiel 3,00 mk. szczotki 90 fen, znaczki kąpielowe 30 fen, golenie 1,50, środki do czyszczenia obuwia 40 fen. — 22,00 mk.

W ciągu roku powiększyła się familia o jedno dziecko, koszta za to były nadzwyczaj nizkie, bo uczyniły tylko mk. 14,00.

Rodzina, o której mowa, jest katolicka, o czem świadczą wydatki na cele kościelne, mk. 6,50.

Składka do kasy związku zawodowego wynosiła mk. 7,20, na książki i gazety wydano 1,65 (?) = 8,85 mk.

Nie pominięto wydatków na jazdę koleją, znaczki pocztowe, zabezpieczenie od ognia, wprawienie szyby, podatek, naczynia kuchenne, słomę i siennik. Na te i jeszcze inne potrzeby wydano razem mk. 36,03. W tej sumie znajdują się już 20 fen. na zabawę.

Sprawa cała przedstawia się więc tak: pracowano rok jeden, aby życie jako tako przepędzić, a że to życie wymagało więcej niżeli praca doniosła, musiano zamknąć rachunek roczny deficytem w wysokości mk. 10,62.

Niestety górnoślązki robotnik, pracujący ciężko na kawałek chleba, musi walczyć z biedą i niedostatkami, a nadto ksiądz — germanizator stoi mu kością w gardle.

M. B—skt.



Oznaki wścieklizny u psów.

Wścieklizna, która w każdej porze roku, jednak szczególniej w lecie psy napada, nie objawia się koniecznie wodowstrętem; gdyż i wściekłe psy piją także wodę, mleko i inne płyny. Widziano nawet wściekłe psy, pływające w wodzie. Błędne jest również mniemanie, że u wściekłych psów widać pianę ciekącą z pyska. U bardzo wielu psów, dotkniętych tą chorobą pyski wyglądają tak samo, jak u psów zdrowych. Czasem tylko wskutek porażenia mięśni paszcza u psów wściekłych jest otwarta i z niej ciecze ślina tylko, a nie piana. Mylne jest także zdanie, jakoby wściekłe psy biegły zawsze w prostym kierunku i ogon trzymały spuszczony pomiędzy tylnemi nogami.

Rzeczywiste oznaki tej choroby są następujące: 1) Zmienione zachowanie się, smutek, stronienie od ludzi, szukanie miejsc odludnych i ciemnych, objawy niepokoju, drażliwość i skłonność do kąsania. Wiele wściekłych psów w pierwszych dniach choroby opuszcza mieszkanie, wracają jednakże po kilku dniach napowrót. 2) Psy dotknięte, chorobą wścieklizny, nie chcą jeść zwykłej strawy, natomiast chętnie pożerają ziemię, słomę, torf i drzewo. 3) Dziwne, ochrypłe, głuche szczekanie, nie w kilku przestankach, lecz jednorazowe i przeciągłe. Niektóre psy szczekają wiele, inne mało; tych pierwszych jest głos ochrypły. 4) Chęć kąsania i to więcej innych zwierząt, aniżeli człowieka. Chociaż pies wściekły często jeszcze poznaje swego pana i jest mu posłuszny, to jednakże i jego kąsa. 5) Dolna szczęka opada na dół a paszcza jest otwarta, jużto zaraz w początku choroby, jużto później. 6) Schudnięcie szybko następuje, oczy tracą blask, włosy się jeżą, przychodzi porażenie mięśni krzyża i tylnych odnóż i w ośmiu a najpóźniej w 9-ciu dniach pies wściekły ginie.

Dodatek Humorystyczny.

Wieś a miasto.

Oj, inaczej płynie
Życie ludzkie, wierzcie,
Oj, inaczej — na wsi,
A inaczej w — mieście!
Na wsi wstajesz z świtem,
Bo ci zorza droga,
I wnet ruszasz w pole,
Chwaląc Pana Boga!
W polu gwar i życie!
Dziewki! Parobczaki!
Płynie pieśń poranna
Hen! w niebieskie szlaki!
Ledwieś kawał uszedł,
Jużbyś połknął wołu,
Więc do izby wracasz
I siadasz do stołu!
Tu ci mleko pachnie
Prościutko od krowy,
Jaja i masełko
I chlebek pytlowy!
Rozczulenia łezka
Spływa ci po rzęsie,
Tak gwałtownie „zmiatasz“,
Że się... gęba trzęsie!
Gdzie się jeno ruszysz
Dobrzy ludzie w koło,
Więc gawędzisz z nimi
Poczciwie, wesoło!
Zamiast różnych oszczerstw
I plugawych plotek,
Zamiast śledzienników,
Bezmyślnych dewotek,
Słyszysz zacne słowo,
Widzisz szczerych ludzi,
Więc ci się gorąca
Chęć do życia budzi.
Cały dzień jak Arab,
Wygrzewasz się w słońcu,
Więc na cyganiątko
Zamieniasz się w końcu!
Zdrowia ci przybywa,
Ciało wzrasta w wagę,
I na duszy błogo,
Boś porzucił blagę!

* * *

W mieście — żal się, Boże!
Cóż za bytu racya?!
Ludzie — niby karły,
Życie — wegetacya!
Spać się kładą rankiem,
Wstają po południu,
Tak się dzieje w sierpniu
I tak samo w grudniu!
Ledwie oczy przetrze,
Waży człek swe szanse:
Czy ma dosyć groszy
I sił na romanse?
Z humorem robionym
Wlecze się leniwie,
Wolny czas przepędza
Przy sznapsie i piwie!
Uczuć szczerych — za grosz!
Wszystko — fałsz i blaga!
Każdy środek dobry,
Który dopomaga!
Bliźnich się obmawia
Na wszelkie desenie,
Niepewny — ubogi,
Ni ten, co ma mienie!
W knajpie łykać musisz
Jadło na fryturze
I strzygą cię wszędzie
Aż przy samej skórze!
Gdy na spacer idziesz,
To ci, człecze, biada,
Kurzem się posilasz,
Cegła na łeb spada!
Nerwy ci poszarpie
Dorożka, co dudni,
I tak wciąż używasz,
Niby psisko w studni.
W nocy spać nie możesz,
Bo sny straszne trapią,
Aż ci nieraz, biedny,
Zęby z strachu kłapią!
I tak żywot w mieście
Wleczesz... byle dalej,
Aż się w końcu zmachasz,
I idziesz... do lali!...



Z historyi pamiątek.

(Z wizyty bankiera.)

— Ależ pan posiada przepyszne antyki?

Bankier. To wszystko... po przodkach!

— Pańskich?

Bankier. Jeszcze jakich pańskich — wszystko jest po największych panach!...



Na ulicy.

— Co to za jeden?

— To literat.

— Nie czytałem jego żadnego dzieła.

— Bo on pisze same dzieła pośmiertne.



Na co mu aż tyle?..

— Ty, Moryc, potrzebujesz brać przykład z twego ojca, kiedy on przyjechał do Poznania, to miał tylko jednę parę butów, a teraz ma milion.

— A na co mu aż tyle par butów?



Płeć czwarta.

Powiadali ludzie
Przy schyłku stulecia,
Że emancypantki
To będzie płeć trzecia.
Ale wiek dwudziesty
Na mężczyzn nie tęgi,
Mnożą się w nim bowiem
Dziwne niedołęgi,
Przyznajmy więc szczerze
(Prawda dużo warta,)
Że w taki to sposób
Powstaje płeć... czwarta.
Nie jest ten mężczyzna
Kto ma wolę słabą,
Chcąc z nim dojść do ładu
Mów wprzód z jego babą,
Ani nawet godzien
Jest nazwiska męża.
Ten co bystrość swoją
Na posag wytęża,
Dlatego jedynie
Aby żyć próżnując,
I przysięga miłość
Uczucia nie czując. —
Nędzny to mężczyzna,
Nawet całe zero,
Jeśli mu małżeństwo
Musi być karyerą.
Ale wśród płci czwartej
Taki pogląd modny:
Że tylko niewiasta
Daje byt wygodny.
Dawniej wstydem było
Żyć na chlebie żony,
Dziś po to się żeni,
Aby był karmiony.
W ten sposób się zmienia
W coś nakształt indyka,
I godność mężczyzny
Całkiem w nim zanika,
Niema już ambicyi,
Zapowiada z góry:
„Jak nie dasz pieniędzy
Nie wezmę twej córy!“
Pracują kobiety,
By zdobyć garść złota,
Mężczyznom od pracy
Odpada ochota...
Czyliż wobec tego
Nie więcej jest warta
Nawet ta płeć trzecia
Niż taka płeć czwarta?



Dział powieściowy.

Przedruk wzbroniony).

SPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

6)

(Ciąg dalszy.)

— Ale ten głos, ten głos!

Tak mogła śpiewać tylko jego Teresa!

Czyż więc była ona tu, w Warszawie, i chciała mu dać znać, że myśli o nim, że ratunek blizki? O, jakie szczęście, jaka rozkosz niewysłowiona!

Potem jednak zaczął rozważać, że Teresie mogłoby tu grozić wielkie niebezpieczeństwo ze strony barona Bondi. Nędznik ten nie uląkłby się żadnego środka, byleby dojść do celu, a jakiemi środkami on walczył o tem wiedział Henryk aż nadto dobrze.

Krew zawrzała w żyłach młodzieńca na myśl, co Teresę spotkać może, i uchwyciwszy żelazne kraty okna, zaczął niemi szarpać tak, jak gdyby je chciał wyłamać, albo jak gdyby pod naciskiem jego palcy prysnąć miały, jak szkło. I w rozpaczy usiłował głowę przecisnąć przez ciasny otwór, ale wszystko to było daremnem!

Spiew ucichł zresztą, a więc Teresa już się oddaliła zapewne.

Tej nocy Henryk już nie spał wcale. Myślał on jedynie o Teresie, i drżał o nią, zapominając zupełnie o sobie i o tem, co go jutro lub pojutrze czeka. Zwabiono ją tu pewnie w sidła, w których zginie nieszczęśliwa, bo jakimże sposobem mogłaby się dowiedzieć, że on jest w Warszawie w cytadeli!

Henryk zerwał się z posłania i pobiegł znowu do okna.

Księżyc świecił teraz wprost do jego celi, woda poruszała się lekko, chociaż stała bardzo wysoko, prawie równolegle z jego okienkiem. Cela pełną była wilgoci i szkodliwych zdrowiu wyziewów. Henryk wiedział, że w takim lochu nikt dłużej nad pół roku żyć nie może, że straszna gorączka, powstająca z szlamu rzeki, kończy się wnet śmiercią. Ale wiedział też, że on tu nie umrze.

Nagle zauważył małą rybkę, płynącą ciągle koło jego okna. Raz się zanurzała, raz wypływała do góry, a zawsze zmierzała do jednego celu. Było to niewielkie, ale żwawe stworzonko — gdy prąd wody ją na chwilę oddalił, zbliżała się potem zaraz znowu do okna, jak gdyby pragnęła wpłynąć do celi więźnia.

— Moja rybko droga, — szepnął Henryk z smutnym uśmiechem, — chcesz mnie rozweselić w mej samotności! O, jaka ty szczęśliwa, że możesz płynąć swobodnie, gdzie chcesz, jakżebym i ja pragnął popłynąć do brzegu, ale niestety! Nie mogę! Muszę zostać tutaj, bez nadziei, bez żadnej pociechy!

Jak gdyby rozumiała rybka jego słowa — zbliżyła się więcej jeszcze do okna.

— Dam jej kilka okruszyn chleba, — pomyślał Henryk i zebrał ze stołu resztki swej kolacyi. Ale jakże się zdziwił, że wyciągnąwszy rękę przez kratę, nie spłoszył tym ruchem śmiałej rybki! Zamiast uciekać, przypłynęła ona tak blizko, że teraz mógł ją wygodnie schwytać.

— Mam cię, — zawołał, i wciągnął ją żywo do celi.

Ale cóż to?

Pomimo, że trzymał rybkę, nie mógł jej podnieść, zdawało się, że jakaś niewidzialna siła trzyma ją mocno. Henryk zadrżał mimowoli, a twarz jego gorącym pokryła się rumieńcem.

Poznał on teraz, że rybka, którą trzymał, była blaszaną, a do ogona jej przytwierdzony był gruby drut, tak długi, że sięgał aż do brzegu. W następnej chwili odkręcił drut, który też zaraz zniknął we wodzie i przycisnął szybko do serca. Zdawało mu się teraz, że trzyma w rękach najdroższy skarb w świecie, przeczuwał bowiem, że w rybce znajdzie list i wiadomość od swoich przyjaciół.

Nie zapomnieli jednak o nim, zajmowali się jego sprawą, jego ocaleniem — a chociażby im się to nie udało, to sama myśl już, że nie jest od wszystkich opuszczonym, była mu niezmierną pociechą!

Przy świetle księżyca obejrzał starannie, ze wszystkich stron małą, blaszaną rybkę i odkrył na grzbiecie jej maleńką sprężynkę. Nacisnął ją — rybka otworzyła się na dwie połowy i mały kawałek papieru wypadł z jej wnętrza.

Henryk wziął go i przeczytał i nowa nadzieja wstąpiła do jego serca. Na karteczce niewiele było słów, ale wystarczały one, aby w Henryku wzbudzić najglębszą wdzięczność dla tego, kto je pisał, i dodać mu odwagi i wiary w przyszłość. Brzmiały one jak następuje:

— Nie lękaj się niczego, nie jesteś opuszczonym — my czuwamy nad tobą, i chociażby miecz kata wisiał nad twoją głową, nie drżyj, bo nie umrzesz! Ocalimy ciebie, tak, jak ty starałbyś się ocalić nas, gdybyśmy się w podobnem znajdowali położeniu. Niech żyje Polska!

„A. S.“

— Książę Adam Starzycki! — szepnął Henryk ze łzami w oczach. — Więc on jest w Warszawie! Nasz przewodnik, głowa naszego związku! On mnie nie opuści, on mnie ocali i weźmie mnie pod swoją potężną opiekę! Bylebym tylko zdołał Teresę uratować z sideł tego nędznika!

Potem podarł papier na drobne kawałeczki i wraz z rybką rzucił je we wodę, a prąd porwał wszystko i poniósł daleko — daleko!

I teraz dopiero upadł przy oknie na kolana, złożył ręce, i w gorącej modlitwie dziękował Bogu za okazaną mu łaskę i dobroć. Prosił Go, o połączenie z ukochaną Teresą o wybawienie jej z niebezpieczeństwa, prosił o wolność ojczyzny i o swoje szczęście.

A na niebie mrugały miljony gwiazd srebrnemi oczami i patrzały w serca złych i dobrych ludzi!

ROZDZIAŁ VIII.

Lis w baraniej skórze.

Wytworne towarzystwo warszawskie znajdowało się w prawdziwym szale zachwytu, upojenia i podziwu. Nie składało się ono wyłącznie z Rosjan, bo chociaż po zabraniu Polski wyniosło się mnóstwo rodzin szlacheckich do innych miast lub zagranicę, to zostało jednak jeszcze dosyć arystokracyi, która na rozkaz namiestnika musiała bywać na balach i zabawach dworskich.

Zamiast wolności, którą car przyrzekł Polakom, rozpoczęły się natychmiast okropne prześladowania tych, którzy nie mogli i nie chcieli zapomnieć, że są Polakami. Zabieranie majątków, aresztowania, zesyłanie na Sybir, kara śmierci — wszystko to było na porządku dziennym, nikt zaś nie wiedział, za co ich właściwie karzą tak nielitościwie. Procesów nie wytaczano nikomu, prosty rozkaz naczelnika albo innego urzędnika wystarczał, aby nieszczęśliwe ofiary szły do więzienia albo na śmierć. To też więzienia były przepełnione, a kaci nie próżnowali. Ile tam wtenczas krwi niewinnej płynęło, ile rozpaczliwych jęków przebrzmiało, nikt by tego nie zliczył. Nie było domu, z którego by żołdacy nie byli nocą wywlekli ojca, męża, lub syna, nie było kobiety, któraby nie opłakiwała kogo z swoich najbliższych. Transporta na Sybir odbywały się coraz to częściej, a okropności pobytu na tej lodowej pustyni żadne pioro opisać nie zdolne!

Car, znając okrucieństwo brata swego Konstantyna, mianował go namiestnikiem Polski!

Wtedy to uciekali Polacy tłumnie z kraju, zostawiając często cały dobytek i ratując tylko życie i wolność. Woleli znosić biedę i nędzę, byle ujść prześladowaniom rosyjskim. Niejedna rodzina straciła tym sposobem całe mienie i błąkała za granicą bez dachu, bez środków do utrzymania, ale lepiej było żebrać, niż iść na Sybir lub na rusztowanie.

Niektórzy jednak zostali w kraju. Nie będąc zdrajcami umieli się jakoś zaprzyjaźnić z Moskalami i zastósować do nowych praw i tym bardzo było dobrze. Namiestnik niezmiernie był dla nich uprzejmy, ofiarował niektórym wysokie nawet urzędy, i obchodzono się z nimi nadzwyczaj łagodnie. Spodziewano się bowiem za ich pośrednictwem pozyskać zaufanie ludu.

Jeżeli jednak Wielki książę myślał, że ci, którzy mu hołdy składają i służą, wyrzekli się już swej ojczyzny, to mylił się bardzo.

W sercu nikt Polakiem być nie przestawał, i każdy jak mógł, wspierał pokryjomu nieszczęśliwych ziomków, będących na wygnaniu lub w więzieniu. Potworzyły się też rozmaite tajne związki, mające głównie na celu wzajemną pomoc w niebezpieczeństwie.

Ale były też i związki polityczne, których członkowie marzyli o odbudowaniu Polski wolnej i niepodległej, a im mniej było widoków ku spełnieniu tych marzeń, tem więcej pracowano i starano się w tym kierunku. Konstantyn wiedział o istnieniu owych związków i starał się wszelkiemi sposobami o wykrycie i usunięcie ich członków.

Najliczniejszem stowarzyszeniem takiem byli „Niepodlegli.“ Książę uważał je także za najniebezpieczniejsze, ale chociaż wysyłał całe zastępy szpiegów i tajnych agentów, rzucających garściami złotem, to jednak nie mógł się dowiedzieć, gdzie się „Niepodlegli“ schodzą, gdzie się naradzają, i kto właściwie do tego związku należy.

Przytem wszystkiem lękał on się niezmiernie o swoje życie. Zdawało mu się ciągle, że chcą go potajemnie zamordować i dlatego otaczał się zawsze licznym zastępem wojska i żandarmów. Rzadko kiedy wyjeżdżał w otwartym powozie, a jeżeli jechał konno, to zawsze w otoczeniu tysięcy żołnierzy.

W sprawozdaniach swoich do cara przedstawiał zawsze położenie rzeczy w Polsce jako bardzo korzystne i kończył je zwykle słowami:

— Królestwo Polskie przestało istnieć, teraz jest tylko już rosyjska prowincya polska.

Takiemi były stosunki w Królestwie, gdy Teresa występowała w Warszawie.

— — — — — — — — — —

Towarzystwo warszawskie było zachwycone Teresą. Wczorajszego wieczora był pierwszy jej występ w operze, w obecności Wielkiego księcia i najwyższej arystokracyi, a powodzenie, jakie miała, było wprost nadzwyczajnem. Żadna pewnie artystka nie cieszyła się podobnem!

Książę był również oczarowany śpiewem i pięknością Teresy, i czuł się dumnym, że to on właśnie sprowadził do Warszawy taką artystkę! Żałował nawet w głębi serca danego przyrzeczenia baronowi Bondi, bo przyszło mu na myśl, że ta piękna dziewczyna byłaby doskonałym szpiegiem wobec Polaków, uwielbiających zawsze piękne kobiety.

Ach, gdyby on był mógł czytać w sercu Teresy! Gdyby był wiedział jak ona nienawidziła rosyjskiego tyrana, jaką sympatyą czuła dla nieszczęśliwych Polaków jak gorąco pragnęła im pomódz! Wszakże ukochany jej Henryk był także Polakiem, i ona nie miałaby uczcić jego ojczyzny, nie miałaby polubić jego rodaków! Dla uciśnionych ma każdy litość, dla ciemięzcy jest tylko pogarda!

Drugi występ Teresy był równie świetnym jak pierwszy.

Po drugim występie wyprawił książę dla niej świetny bal, na który tylko najwyższa arystokracya otrzymała zaproszenie. Teresa, ubrana w kosztownej białej sukni była najpiękniejszą z wszystkich obecnych kobiet i zachwycała nietylko urodą i strojem, ale i żywością i dowcipem. Starała ona się każdemu podobać, mianowicie wysokim urzędnikom — że miała w tem szczególniejszy cel, nietrudno było odgadnąć. Ach, jak gorąco pragnęła z tych wszystkich wyszukać jednego, któryby jej pomógł uratować Henryka!

Wiedziała już bowiem, że ukochany jej znajduje się w cytadeli warszawskiej, że jęczy tam w okropnym lochu, i że skazany jest na śmierć! Poszła więc zeszłej nocy na brzeg Wisły, naprzeciwko okienka jego celi i śpiewała mu tę pieśń, która go raz już od śmierci ocaliła. Chciała mu dać znać o swej bliskości, chciała go pocieszyć, dać mu dowód swej miłości i napełnić serce jego odwagą i nadzieją!

Ale ona sama żadnej nadziei nie miała.

Wszystko, czego się zdołała dowiedzieć o losach uwięzionego, pogrążyło ją w głębokiej rozpaczy.

Wierny Walenty zasięgał gdzie mógł wiadomości — w rozmaitych przebraniach biegał po mieście, zapoznawał się z żołnierzami, żandarmami i słyszał zawsze jedno i to samo, że ucieczka z cytadeli jest wręcz niemożliwą.

Powiadano mu, że byli tacy, którzy próbowali uciekać, ale odwagę tę natychmiast życiem przypłacali.

Teresa naprowadzała też już kilka razy rozmowę na cytadelę i dała nawet samemu księciu do zrozumienia, że dla samej ciekawości, ponieważ tyle już o tem słyszała, chciałaby chętnie zwiedzić te okropne podziemne lochy. Miała przytem nadzieję, że przy takiej sposobności udałoby jej się zobaczyć Henryka i uratować go, ale książę, bardzo zawsze uprzejmy, zaczął zaraz mówić o czemś innem. A gdy go Teresa później wyraźnie o pozwolenie zwiedzenia cytadeli poprosiła, odpowiedział jej:

— Nie wiesz pani, czego żądasz! Nie miałabyś już w życiu spokojnej chwili, gdybyś widziała raz te straszne jaskinie. Nie, to nie dla pięknej kobiety, żyjącej w blaskach słońca jak świetny motylek! Nie mogę wypełnić tego życzenia, bo po nad moją wolą stoi rozkaz mego brata cara, aby żaden niepowołany człowiek — czy to mężczyzna czy kobieta — nie przestępował progów cytadeli!

A Teresa nie miała chwili do stracenia. Dziś był już dziesiąty maj, za trzy dni, to jest trzynastego o siódmej rano miał Henryk być ściętym.

Pomimo to jednak śmiała się, żartowała, śpiewała, i nikt, patrząc na nią, nie byłby przypuszczał, że serce jej przepełnione jest rozpaczą.

Wesoły śmiech nie zawsze bywa dowodem wesołości serca, pod uśmiechem często kryją się łzy — tem boleśniejsze, że ukrywać je trzeba!

Podczas kiedy Teresa rozmawiała właśnie z kilku wysokimi dostojnikami i z pozorną uprzejmością przyjmowała ich pochlebne słowa, zbliżył się do niej Wielki książę w towarzystwie młodego jeszcze, wysokiego mężczyzny, którego blada twarz i wielkie czarne oczy już poprzednio podpadły Teresie.

— Pozwól pani, że ci przedstawię naszego szanownego księdza La Fontaine, — rzekł książę. — Jest to Francuz, od kilku dni dopiero bawi w Warszawie — człowiek uczony i pobożny, co mu przecież nie przeszkadza podziwiać cudownego śpiewu twego!

— Tak jest, — odezwał się młody duchowny, składając Teresie głęboki ukłon, — przyznaję, że śpiew pani wprawił mnie w zachwyt prawdziwy!

— Dziękuję panu, — odrzekła Teresa, podając mu rękę, — pochwała ta bardzo mnie ucieszyła!

Książę oddalił się. La Fontaine rzekł zaś głośno do Teresy:

— Może pani raczysz iść ze mną na chwilę do zimowego ogrodu. Pragnąłbym tak bardzo porozmawiać z panią o muzyce!

— Chętnie!

W tejże chwili zagrała orkiestra, pary stanęły do tańca, ksiądz więc i Teresa wysunęli się niepostrzeżenie z sali balowej i przeszli na drugą stronę terasy zamkowej.

Ogród zimowy był obszerny i zaciszny. Stały tu olbrzymie drzewa z ciepłych kraji, barwne kwiaty upajające roztaczały wonie, a w marmurowych fontannach szumiały cicho krople spadającej wody. Liczne groty i altanki, ukryte w cieniu drzew były jak gdyby stworzone do poufnej rozmowy.

Do jednej z takich grot zaprowadził ksiądz swoją towarzyszkę i usiadł obok niej na ławce, sztucznie mchem pokrytej.

— Przedewszystkiem muszę panią prosić o przebaczenie, — zaczął młody duchowny z uśmiechem, — że pozbawiłem cię wielkiej przyjemności. Tańce właśnie się rozpoczęły.....

— Nie lubię tańczyć, — odpowiedziała Teresa, — i zresztą — panu to mogę wyznać — nie jestem w usposobieniu bawienia się!

— Wiem o tem!

— Pan wie o tem? — powtórzyła Teresa zdumiona, i zauważyła nagle, że ksiądz wpatrywał się w nią badawczo i przenikliwie. Czarne jego, bystre oczy zdawały się czytać formalnie w jej sercu.

— Tak i dlatego — ah, nie naprózno przyprowadziłem panią tutaj! Jestem niezmiernie szczęśliwym, że mogę z panią tu bez świadków rozmawiać, bo — ale czekaj pani, muszę się najpierw przekonać, czy nas kto nie podsłuchuje. Bo tu mury mają uszy.....

Mówiąc to wstał, obejrzał się uważnie w około, potem na dawne wrócił miejsce.

Ale w tej samej chwili rozsunęły się nieco krzewy za ławką i chuda, żółta twarz męzka, o długim, ostrozakrzywionym nosie, wyjrzała pomiędzy gałązkami.

Podsłuchujący mógł wygodnie słyszeć każde słowo księdza i Teresy — żadne z nich nie przypuszczało, aby już za nimi znajdował się nędzny szpieg!

— Wiem, — zaczęła teraz Teresa, — że duchowny kłamać nie może, ale to, co mi pan przed chwilą powiedziałeś wydaje mi się tak nieprawdopodobnem, że proszę najpierw o wyjaśnienie mi tej zagadki! Powiedziałeś pan, że znasz powód mego smutku, a przecież nie zwierzyłam się tu nikomu!

— Nie zwierzyłaś się ludziom, to prawda, ale śpiewałaś wczoraj w nocy nad brzegiem rzeki pieśń, której słowa stały się promieniem słońca w celi biednego więźnia!

I cichym, dźwięcznym głosem powtórzył ksiądz pierwsze słowa pięknej pieśni:

„Kto się w opiekę odda Panu swemu.“

Teresa zadrżała.

— Tak! — szepnęła, — śpiewałam to! O, pan mnie podsłuchałeś.....

— Może! Ale ja wiem, w jakim szlachetnym zamiarze przybyłaś pani do Warszawy. Wiem, że się śmiejesz, podczas kiedy ci się serce krwawi, i wiem, że narzeczony twój, hrabia Henryk Orszański będzie zgubionym, jeżeli w przeciągu trzech dni nie znajdziesz sposobu uratowania go od śmierci.

Teresa białe załamała ręce.

— Przecież mnie pan nie zdradzisz? — szepnęła drżącym głosem.

— Na to nie mogę pani dać tutaj odpowiedzi, — odrzekł La Fontaine cicho. — Ale dziś jeszcze odpowiem ci, na innem miejscu!

— Gdzie — gdzie?

— Chcesz pani przyjść dziś w nocy tam — gdzie się dowiesz czegoś pewnego o losach Henryka?

— Naturalnie! Jak możesz pan pytać o to! Powiedz mi tylko, co mam zrobić, dokąd mnie zaprowadzisz?

Szpieg natężył słuch, a brzydkie jego ukośne oczy dziką jaśniały radością.

— Wszakże pani zamieszkujesz pokoje, wychodzące na ogród zamkowy? — zapytał ksiądz.

— Tak — w lewem skrzydle na dole!

— Bardzo dobrze! Więc dziś o drugiej, gdy goście [illegible] i w zamku wszystko się uciszy, wtedy wyskocz pani oknem i wyjdź do ogrodu. Ja będę stał pod lipą po lewej stronie, i czekał na panią. Ale musisz się przebrać w strój męzki, w teatralnej twej garderobie znajdziesz może jakie stósowne ubranie. Masz je pani?

— Tak a potem — dokąd pójdziemy?

Ksiądz spojrzał raz jeszcze przenikliwie w oczy dziewczęcia, jak gdyby się chciał przekonać, czy może zawierzać.

— Zaprowadzę panią, — odrzekł uroczyście, — w miejsce, w którem mieszka rozpacz, żal, gniew i nędza — w miejsce, które ci się w pierwszej chwili okropnem wyda, a w którem zgromadzeni mężowie jeden tylko ideał znają, to jest: wolność! Tam ja cię zaprowadzę!

Twarz szpiega zwycięzkim wykrzywiła się uśmiechem. Gdyby go ksiądz mógł był teraz widzieć! Ale on, sądząc, że jest sam z Teresą, mówił dalej:

— Pani kochasz hrabiego Orszańskiego! Nie mówiłaś mi tego wprawdzie, ale ja się domyślam, że tak jest. Zaprowadzę panią do jego nieszczęśliwych braci! Cóż to, na Boga, nie słyszałaś pani jakiegoś szelestu? — zawołał nagle La Fontaine, zrywając się z ławki.

Ale szpieg zniknął jeszcze prędzej. Gałązki tylko lekko zaszeleściały i znów cisza zapanowała za ławką.

— To nic, — rzekł, oddychając swobodnie. — A już się obowiałem, czy nas kto nie podsłuchuje! Więc przyjdziesz pani, mam czekać na ciebie?

— Przyjdę, — zawołała Teresa stanowczo, ściskając z wdzięcznością jego rękę. — Przyszłabym, chociażbym wiedziała, że mnie pan zaprowadzisz na śmierć. Mam do pana niezmierne zaufanie! Kto tyle cierpiał, jak ja, ten czepia się każdej nadziei.....

— A zatem o drugiej, — przerwał ksiądz. — Teraz ja najpierw wrócę na salę, pani zaś przyjdź dopiero za kilka minut. Podpadłoby może, gdyby nas razem ujrzano — rozmowa nasza dosyć trwała długo!

I nie czekając już jej odpowiedzi, opuścił ogród zimowy. Teresa poczekała jeszcze trochę, potem wstała z ławki i zwróciła się także ku sali balowej.

Ale gdy właśnie stała za olbrzymim posągiem jakiegoś bożka greckiego, ujrzała zbliżającego się księcia oraz innego jeszcze mężczyznę, i nie chcąc księcia spotykać, nie ruszała się z miejsca. Myślała, że książe i towarzysz jego pójdą zaraz dalej.

I tak też było rzeczywiście, tylko, że obydwaj rozmawiali głośno ze sobą, i przechodząc koło posągu, mówił książę:

— Nie, mój baronie, nie zachwiejesz we mnie zaufania, jakie pokładam w księdzu. Jest on nam szczerze oddany, a że Polacy bardzo go lubią, przeto używam go raz po raz do zdawania mi sprawy z tego, co Polacy mówią!...

Dotychczas okazało się wszystko prawdziwem. La Fontaine nie jest zdrajcą!

Więcej Teresa rozumieć nie mogła, ale rozmawiający dawno się już oddalili, a ona stała zawsze jeszcze na tem samem miejscu, blada i śmiertelnie przerażona.

Bo w towarzyszu księcia poznała tego, którego z całego serca nienawidziła i który największym jej był nieprzyjacielem, to jest barona Bondi!

— — — — — — — — — — — — —

Na zegarach miejskich wybiła godzina druga. W zamku królewskim głęboka panowała cisza — świetne towarzystwo, zapełniające salony księcia rozjechało się już oddawna, i służba nawet już spała. Teresa znajdowała się w swoich pokojach.

Cicho i ostrożnie otworzyła szafę, wyjęła z niej ubranie strzelca, w którem miała nazajutrz wystąpić w operze i zdjąwszy balowy strój, przebrała się szybko. Gdy była gotową, wsunęła do kieszeni sztylet, nie był on jej wprawdzie potrzebnym, ale ostrożność nigdy nie zaszkodzi!!

Potem otworzyła okno, przekonała się, że wszędzie cisza, i westchnąwszy do Boga, wyskoczyła odważnie do ogrodu.

Pod lipą chciał czekać na nią La Fontaine — i rzeczywiście — stał tam, oparty o pień drzewa — a w bladem świetle księżyca widziała Teresa wyraźnie jego wysoką, szczupłą postać w czarnej jedwabnej sutannie. Na głowie miał czarny kaptur, zasłaniający mu prawie całą twarz.

Zdawało jej się, że teraz jest wyższym, niż na sali, ale musiało to być proste tylko złudzenie. Z tem wszystkiem przyszło jej w tej ostatniej chwili na myśl, że niepowinna

może tak zaufać człowiekowi zupełnie sobie nieznajomemu, którego książę uważał za swego wiernego sługę i oddawać się jemu na łaskę i niełaskę! Głos jakiś wewnętrzny mówił jej: „wróć, póki czas, idziesz na twoją zgubę — ale w tejże chwili stanął jej przed oczami Henryk, w okropnej celi więziennej, w kajdanach i łańcuchach, i slyszała rozpaczliwe jego wołanie o ratunek...

— Pójdę — szepnęła, — ten ksiądz jest uczciwym człowiekiem, on mnie nie zdradzi!

I szybko pobiegła pod lipę.

Postać pod drzewem poruszyła się.

– Jesteś pan? — szepnęła Teresa.

— Tak!

La Fontaine uścisnął jej rękę, potem prowadził ją przez kręte ścieżki ogrodu, nie mówiąc ani słowa.

Gdy doszli do muru, wyjął z kieszeni klucz, otworzył niewidzialne jakieś drzwiczki, i kilka minut później stanęli oboje na jednej z najgłówniejszych ulic Warszawy.

La Fontaine milczał ciągle, Teresa zaczęła się niepokoić.

— Czy daleko jeszcze? — szepnęła.

Ksiądz zakaszlał się gwałtownie.

— Nie — odrzekł cicho — nie — wkrótce staniemy na miejscu.

I znów szli dalej, najpierw pięknemi ulicami, potem zwrócili się w małe, wązkie — potem nareszcie wyszli za miasto. Teresa upadała nieomal od zmęczenia.

— Wszakże tam, dokąd mnie pan prowadzisz — rzekła teraz — dowiem się, w jaki sposób można uratować Henryka od śmierci!

— Tak.

— Daleko jeszcze?

— Nie. Wielka niespodzianka czeka tam panią. Otóż jesteśmy u celu. Wejdziemy do tego tam domu!

La Fontaine wyciągnął rękę i wskazał ładny, piętrowy dom, otoczony wielkim ogrodem. Przez zamknięte okiennice przebijało z jednego pokoju światło, reszta okien zupełnie była ciemna.

Teraz weszli na szerokie kamienne schody, Teresa szła pierwsza, za nią jej towarzysz.

Stanąwszy przy drzwiach, wyciągnął klucz i odemknął ciężki zamek. Głęboka ciemność panowała w sieni.

— Wejdź pani, — zawołał ksiądz.

Ale Teresa cofnęła się przerażona. Głos księdza brzmiał teraz zupełnie inaczej — taki był ostry, krzykliwy, podczas kiedy przed kilku godzinami....

I znów przesunęła jej się myśl ucieczki. Spojrzała ze schodów na dół — jeden skok tylko — a potem uciekać — chociażby na koniec świata — pędzić na oślep, byle się oddalić z tego miejsca!

Ale gdy podniosła głowę, spostrzegła, że ksiądz zagradzał jej drogę. Może się domyślił jej zamiaru ucieczki.....

— Cóż to, boisz się pani? — szepnął. — Zapominasz więc o Henryku? Więc wracaj do zamku, ale wtedy spadnie za trzy dni głowa jego na rusztowaniu! Ta zaś, którą kochał i na której pomoc liczył, będzie mogła sobie powiedzieć, że nie uczyniła nic,, aby go ratować!

Teresa czuła się wzruszoną do głębi serca.

— Nie, niech się dzieje co chce, — pomyślała, — ja się teraz już nie cofnę! Jeżeli poszłam tak daleko, to pójdę i dalej! Prawdziwa miłość zdolną jest do każdej ofiary — miłość nie pyta, nie lęka się, tylko się poświęca!

I nie namyślając się już dłużej, przestąpiła próg ciemnego domu.

Ksiądz wbiegł szybko za nią, zatrzasnął drzwi, obrócił klucz dwa razy i schował go do kieszeni.

— Czy pójdziemy na górę? — zapytała Teresa.

— Nie — tam — pójdź pani!

I schwyciwszy jej rękę, jak żelaznemi kleszczami, pociągnął ją w jakiś długi kurytarz.

— Teraz jesteśmy u celu! — krzyknął otwierając drzwi oświetlonego pokoju.

Ale w pokoju tym nie było nikogo.

— Panie La Fontaine, — zawołała Teresa, — dokądże mnie przyprowadziłeś? Gdzie są bracia Henryka, o których mi mówiłeś? Czemu tak dziwnie na mnie patrzysz?

— Bo jesteś pani u celu, — brzmiała szydercza z pod kaptura odpowiedź — i ja także cel mój osiągnąłem. Jesteś teraz moją, piękna pani!

— Boże — co to znaczy?

— Zaraz ci powiem! Spojrzyj na mnie! Ja jestem ten, którym wzgardziłaś, a którego hrabia Orszański z twego powodu w twarz uderzył! Poznajesz mnie?

I szybkim ruchem zerwał kaptur z głowy.

— Bondi! — krzyknęła Teresa załamując ręce. — Boże mój, ratuj mnie z rąk tego szatana!

I śmiertelnie przerażona upadła na kolana.

ROZDZIAŁ IX.

Napad.

Dziesięć minut przed wyjściem Teresy do ogrodu, stał ksiądz La Fontaine rzeczywiście pod lipą i czekał na przybycie Teresy.

Spoglądał on raz po raz na okna jej pokoi i uśmiechał się zadowolony. Piękna, wyrazista twarz jego serdeczną promieniała radością.

— Ona przyjdzie, — myślał, — przyjdzie z pewnością, a ja zaprowadzę ją do nich. Ta piękna dziewczyna zasługuje na zaufanie, jakie jej okażemy, wszakże ona kocha Henryka z całego serca, i nie myśli o niczem innem, jak o ratowaniu go!

Ale Teresa ubierała się wolno i dlatego nie nadchodziła jeszcze.

Ksiądz niecierpliwił się coraz to więcej. Chodził tu i tam, patrzał w okna, ale daremnie. Teresa spóźniała się.

I znów przykre myśli nasuwały się czekającemu.

— Za trzy dni ma być ściętym nasz biedny Henryk, ale my na to nie pozwolimy. Nie, biedny mój bracie ty musisz żyć! Trzy dni, to dużo jeszcze czasu — przygotowania nieskończone wprawdzie, wiemy jednak już, co nam uczynić wypada. Po twoim trupie, Konstantynie, wiedzie droga do wolności..... Jest to okropne, ale inaczej być nie może! On musi umrzeć — a przecież to ojciec Fedory, którą kocham nad wszystko w świecie!

Jeszcze dotychczas nic jej o mojej miłości nie mówiłem — mam jednak nadzieję, że zdobędę to dumne serce! Cóż przecież będzie, jeżeli z mego rozkazu padnie jej ojciec! Ach wtedy stanie pomiędzy nami trup — otworzy się przepaść bezdenna!

W tej samej chwili rzucił się ktoś na niego i objął silnie jego szyję.

— Musisz umrzeć, księże La Fontaine, — syknął jakiś głos ostry. — musisz umrzeć!

Nagły ten napad był tak gwałtownym, że ksiądz nie miał nawet czasu do pomyślenia o obronie. Przeciwnik jego był zresztą bardzo mocny, kilku szarpnięciami udało mu się powalić księdza na ziemię i przycisnąwszy go kolanem, polużnił mu nieco żelaznego uścisku na szyji. La Fontaine odetchnął, ale o walce z napastnikiem ani mowy być nie mogło.

Teraz jednak poznał swego przeciwnika.

— *Baronie Bondi, — szepnął, — czemu chcesz mnie zamordować, czemu mnie tak zdradziecko napadasz? A ja uważałem cię zawsze za mego przyjaciela!* Okazywałeś zawsze tyle współczucia dla nieszczęśliwych Polaków!

— Nie tobie stawiać pytania, — odrzekł Bondi drwiąco, — tylko mnie, a ty musisz mi na wszystko dokładne dawać odpowiedzi, rozumiesz? Kto ty jesteś właściwie? Jakie jest twoje prawdziwe nazwisko, bo że się pod przybranem kazałeś wprowadzić na dwór księcia, o tem nie wątpiłem nigdy, ani na chwilę. Przyznaj się teraz — kto jesteś, i jakim służysz celom — znajdujesz się obecnie w mej mocy, i jeżeli nie powiesz mi prawdy, zaduszę cię własnemi rękami!

— Nędzniku, odezwał się La Fontaine, — to ty mnie okłamałeś i oszukałeś — jesteś szpiegiem księcia! Ach, jak dobrze, że ja ci nigdy zupełnie nie zaufałem..... A teraz powiem ktc ty jesteś i kto ja jestem! Tyś jest łotrem — ja uczciwym człowiekiem! Możesz mnie złamać, ale nigdy mnie nie zegniesz!

— Ah, wiem już, tyś nie Francuz, tylko Polak! Nie udało mi się zdemaskować ciebie, wiem jednak, że poświęciłeś się sprawie polskiej!

— Jestem blizkim śmierci, — rzekł ksiądz, patrząc z pogardą na barona, — ale umieram dumny i nieugięty



— Baronie Bondi — szepnął ksiądz La Fontaine — czemu chcesz mnie zamordować, czemu mnie tak zdradziecko napadasz? A ja uważałem cię zawsze za mego przyjaciela!

Masz słuszność, że poświęciłem życie moje i cały majątek nieszczęśliwej mej ojczyźnie, którą kocham o tyle, o ile nienawidzę księcia, jego katów i — szpiegów!

— Powiedz mi teraz, dokąd chciałeś zaprowadzić Teresę Krones? — zawołał Bondi groźnie, a długie jego palce zacisnęły się znowu mocniej koło szyji nieszczęśliwego. — Odpowiedz, inaczej nadeszła ostatnia twoja chwila!

— Ah, więc i to wyszpiegowałeś, i myślisz, że zdradziłbym tę szlachetną dziewczynę? Nie, ja nie jestem baronem Bondi — ja milczę!

— Więc idź do piekła, — krzyknął Bondi przytłumionym głosem, i wyciągnął sztylet z kieszeni.

— Uderz — uderz! Przykro mi wprawdzie umierać z ręki takiego jak ty nędznika.....

Były to ostatnie słowa księdza. Morderca podniósł rękę i zatopił sztylet w piersi nieszczęśliwego.

Strumień krwi trysnął z rany, głowa La Fontaina opadła w tył, ale usta poruszały się jeszcze ostatniem pożegnaniem ojczyzny.

— Boże — zbaw — nasz kraj — ja nic już — uczynić nie — mogę!

Potem wyprężyło się ciało i leżało nieruchome.

Bondi wstał i otarł o trawę skrwawiony sztylet, a schowawszy go znowu do kieszeni, spojrzał w okna mieszkania Teresy.

Na zegarach biła godzina druga.

— Muszę się spieszyć, — szepnął, — ona zaraz przyjść musi.

I nie namyślając się długo, zdarł jedwabną sutannę z martwego księdza, zarzucił ją na siebie, nacisnął kaptur na głowę i w przeciągu kilku sekund zupełnie był gotowy. Ale teraz przyszło mu na myśl, że trzeba przecież trupa usunąć.

Bondi szybko układał plany i jeszcze prędzej wykonywał je.

Podniósł trupa za nogi, i biegnąc, ciągnął go przez cały trawnik, aż na brzeg stawu. Tam stanął, schylił się, i już chciał go w wodę wrzucić, gdy nagle uczuł na piersiach jego, pod wełnianą koszulą coś twardego.

— Zapewne papiery jakie! — zawołał uradowany.

I rzeczywiście w następnej sekundzie wyciągał już duży pugilares, pełen listów i papierów. I zaledwie spojrzał na pierwszy dokument, gdy stanął jak wryty.

— Ach! to on szepnął, a twarz jego zajaśniała radością. — To on, pod nazwiskiem La Fontaine! Jakież ja tej nocy wyświadczyłem dobrodziejstwo księciu i całej Rosji! Za to da mi książe wory złota, a car tytuł księcia! Mogę żądać, czego chcę! Zabiłem największego wroga księcia, najgorliwszego Polaka najniebezpieczniejszego buntownika! Więc to ty jesteś — dodał, obejmując trupa z zamiarem wrzucenia go do wody, — no, możesz teraz ochłodzić twoje gorące serce! Ale nie! Nie wrzucę cię tam, ciało twoje będzie mi jeszcze potrzebne na dowód, że cię rzeczywiście zabiłem! Jutro przyprowadzę tu księcia i pokażę mu dzieło dzisiejszej nocy.

Położył teraz ostróżnie trupa na ziemi i przykrył go gałęziami i trawą tak, że nikt nie byłby go tam wśród krzewów dojrzał. Chodziło zresztą o kilka tylko godzin, postanowił bowiem już o szóstej meldować księciu wszystko, co się stało. Dla tak ważnej rzeczy mógł śmiało księcia rychło obudzić.

— Do jutra! Jutro raz jeszcze podniosę cię z ziemi, ty szlachetny patryjoto, aby cię potem nazawsze kazać katom pogrzebać. Znikniesz, zgnijesz — a wszystko to mojem dziełem!

I uszczęśliwiony wrócił czemprędzej pod lipę. Poprawił jeszcze na sobie sutannę, ułożył staranniej kaptur, i czekał spokojnie na drugą ofiarę.

Po upływie kilku minut otworzyło się okno — i zaraz potem stanęła Teresa obok swego śmiertelnego wroga. Wiemy, że plan uprowadzenia niewinnej dziewczyny powiódł mu się zupełnie, wiemy, że Teresa, w nadziei ocalenia ukochanego Henryka poszła dobrowolnie w zasadzkę. Bondi wyszukał sobie na ten cel mały palacyk, należący do księcia, a stojący zawsze pusto, bo książę wolał mieszkać w wspaniałym zamku królewskim, niż w samotnym pałacyku za miastem.

— — — — — — — — — —

Po odejściu barona i Teresy zapanowała w ogrodzie głęboka cisza.

Potem jednak otworzyły się ostróżnie drzwi sieni i Walenty wyszedł także do ogrodu.

— Co u licha — szepnął zdumiony — to ona jednak poszła z tym nieznajomym księdzem! O Boże, jaka ona nierozważna! Gdyby się kto dowiedział, że panna Krones o tej godzinie ucieka z jakimś obcym mężczyzną z królewskiego zamku — co by to ludzie o niej mówili! Chociaż tak źle nie jest, bo to ksiądz... sługa Boży... on przecież nie może mieć złych zamiarów... Uważałem już wczoraj, jak on ciągle na nią patrzał, tak, jak gdyby chciał czytać w jej sercu. A takie ma dobre, łagodne oczy.... musi to być bardzo zacny człowiek! Nie pójdę też za nimi — powinienem właściwie być zawsze w blizkości mej pani — ale — hm, doprawdy, nie wiem co robić! I nie wiem też, dokąd poszli, gdzie ich szukać... W tej ciemnej nocy... Chyba szli tu, przez trawnik — o — cóż to, wygląda to tak, jak gdyby ktoś był tu ciągnął jakiś ciężar.....

I poczciwy Walenty przestraszył się swem odkryciem i schylony, szedł wolno tym śladem, który zostawił po sobie Bondi, ciągnąc po trawniku ciało księdza.

Walenty szedł ciągle dalej, nagle jednak stanął i potarł czoło.

— Boże — jęknął, — toć to krew! Boże! zabili moją panią! I ciało jej wlekli tutaj....

Biegł teraz, jak pies wierny, szukając dalszych śladów, i tak doszedł aż do stawu. Pierwszą jego myślą było naturalnie to, że Teresę utopiono, ale zaraz potem znalazł później pugilares męzki na trawie.

— To przecież nie jest własnością mej pani — pomyślał. — Próżny pugilares, nowy, a tu już rozdarty — widać że przemocą go wyciągano i otwierano! Czyżby to kogoś innego zamordowano? Bo przecież ksiądz szedł z nią, a pod taką opieką nie mogło jej się stać nic złego.

I nieco już uspokojony, zaczął się pilnie rozglądać w około, czy jeszcze czego nie znajdzie.

Nagle zdawało mu się, że pomiędzy krzewami widzi coś błyszczącego na ziemi, nie namyślając się więc długo, schylił się i schwycił świecący przedmiot.

Ale zaledwie dotknął owego przedmiotu, gdy krzyknął tak głośno i tak przeraźliwie, jak gdyby był chciał zbudzić wszystkich mieszkańców Warszawy.

Był to pierścionek na palcu trupa!

Walenty długo się uspokoić nie mógł, ale wiedział chociaż napewno, że nie Teresę tu zamordowano.

Gdy nareszcie odzyskał przytomność, zabrał się do wydobycia ciała z pod gałęzi i liści. Nie trwało to długo, bo morderca w pospiechu nie bardzo starannie przykrył trupa.

Księżyc wypływał teraz w całym swym majestacie

z za chmury, i przy jasnym jego blasku spojrzał Walenty w twarz zamordowanego.

I znów głośny krzyk dobył się z piersi jego — zdawało mu się, że albo zmysły stracił, albo czar jakiś go opanował.... Nie, to być nie mogło — przecież sam, na własne oczy, widział Teresę odchodzącą z pod lipy z księdzem, a teraz, ten, który tu leżał i którego uważał za martwego — nie był kim innym, jak właśnie owym księdzem! Walenty nie wiedział co myśleć.

Z tem wszystkiem czuł instynktownie, że przedewszystkiem powinien się przekonać, czy ksiądz żyje jeszcze. Może to było tylko głębokie zemdlenie, spowodowane utratą krwi!

Zbierając więc całą odwagę, zaczął pilnie oglądać ciało i ku wielkiemu swemu przerażeniu spostrzegł na prawej stronie piersi głęboką ranę, z której sączyła krew.

— Ach, obudź się ojcze wielebny — prosił Walenty, i powiedz mi, kto cię tak zranił! Kto popełnił tę okropną zbrodnię?

Potem pobiegł do stawu, umaczał chustkę w zimnej wodzie, świeżej wodzie, obmył ranę i obwiązał ją, jak umiał. Następnie nacierał wodą twarz nieszczęśliwego.

I teraz zdawało mu się, że słyszy ciche westchnienie. — Poczciwy chłopak biegał nieustannie do stawu, przynosił w rękach wodę i trzeźwił jak mógł rannego.

Nareszcie — po długich trudach i mozołach, otworzył ksiądz oczy.

Któż opisze szczęście Walentego!

— Gdzie jestem? — szepnął La Fontaine, patrząc z niezmiernem zdumieniem na dziwne otoczenie.

— W ogrodzie zamkowym — odrzekł Walenty.

— Ach, wiem już — przypominam sobie — Boże, co się to stało! Ten łotr napadł mnie....

— Kto, kto to był? — zawołał Walenty. — Niech mi ksiądz dobrodziej wymieni nazwisko tego podłego mordercy, abym wiedział, gdzie i kogo szukać!

— Ale kto wy jesteście, mój przyjacielu? — zapytał La Fontaine słabym głosem. — Pomogliście mi — a raczej uratowaliście mi życie — dziękuję wam — i wymieńcie wasze nazwisko! Potem podeprzejcie mnie trochę — zdaje mi się, że rana moja nie jest ani głęboką ani niebezpieczną. Boli trochę — więcej nic!

— Czy mnie ksiądz dobrodziej nie poznaje?

— Ah, to ty — wszakże jesteś służącym panny Krones, nieprawdaż?

— Tak, a imie mi Walenty.

— Dzięki Bogu, że tu jesteś! Biegnij czemprędzej do twej pani i powiedz jej, że dzisiejszej nocy nie mogę jej zaprowadzić tam, gdzie chciałem, jutro natomiast..... cóż to, czemu nie idziesz? Czy się co stało — powiedz, na Boga!

— Ach, ja sam nie wiem, czy się stało coś złego — ale to jest okropne — bo przed godziną mniej więcej widziałem, jak ksiądz dobrodziej szedł z moją panią — a teraz, ksiądz dobrodziej leży tu ranny.... a gdzie sutanna?

La Fontaine zerwał się, nie zważając na ranę — przerażenie dodało mu sił, zaraz potem jednak zachwiał się i upadł w objęcia Walentego.

Nieszczęście się stało, — zawołał drżącym z wzruszenia głosem, — pani twoja wpadła w sidła łotra, który nas podsłuchać musiał! Nie ja wychodziłem z nią z ogrodu tylko ów morderca i złodziej — ukradł mi moje ubranie i oszukał ją w ten sposób. Uprowadził ją ztąd podstępem i Bóg wie, co się z nią dzieje!

W oczach Walentego stanęły łzy.

— Moja pani, biedna moja pani, — szepnął. — Idźmy za nią, szukajmy jej! O gdyby tylko ksiądz dobrodziej nie był tak słabym!

— Ależ ja nie jestem słabym, — odrzekł La Fontaine prostując swoją zręczną, wysmukłą postać. — Skoro chodzi o ocalenie tak szlachetnej dziewczyny, to ja już siły znajdę. Idźmy!

Miał on także klucz od tych samych drzwi w murze ogrodu, któremi wyszedł Bondi z Teresą, i tak stanęli obydwaj po chwili na tem samem miejscu, na którem przed godziną pytała Teresa swego towarzysza, czy daleko jeszcze do celu. Wszelka pogoń stawała się jednak nie możliwą. Tyle ulic i uliczek, gdzie tu szukać kogoś, kto się chce ukryć! Tak La Fontaine jak i Walenty uznali od razu bezskuteczność ich zamiaru.

— To daremne, — rzekł Walenty, — ten zbójca za wiele miał czasu do ucieczki!

— Tak, ale ja mam nadzieję, że Bóg ją ocali, — odpowiedział ksiądz. — Niewinność ma zawsze swego anioła stróża, który jej broni. — Powiedz mi teraz jeszcze, mój Walenty, — dodał, patrząc mu przenikliwie w oczy, jesteś ty uczciwym człowiekiem? Nie stałbyś się nigdy zdrajcą?

— Ja zdrajcą? Nie — Bóg mi świadkiem — może jestem wielkim grzesznikiem, ale zdrajcą nie byłem, nie jestem i nie będę nigdy!

I oczy chłopaka taką jaśniały szczerością, że nie można było wątpić o prawdzie tych słów.

— To dobrze. U kogo służyłeś dawniej?

— U hrabiego Orszańskiego we Wiedniu!

— Nie może być! Ale tem lepiej. Słuchaj więc — przysięgnij, że nie powiesz nikomu o tem, co w tej nocy usłyszysz i zobaczysz.

Walenty podniósł rękę i rzekł uroczyście:

— Przysięgam!

— A zatem — ale nie, jeszcze nie, wolę, że się o tem z innych ust dowiesz. Pójdź teraz ze mną, czuję się zupełnie silnym, ... Nie bój się tylko niczego!

— Pod opieką księdza dobrodzieja nie lękałbym się nawet samego lucypera, — zawołał Walenty z zapałem. I podpierając silnie rannego, zapytał jeszcze troskliwie:

— A rana, boli bardzo?

— O, bardzo, — odrzekł La Fontaine z ciężkiem westchnieniem, — ale ten ból zniosę bez szemrania. Więcej bolą rany serca, tych nikt, oprócz Boga zagoić nie może!

Obydwaj szli teraz dosyć prędko — najpierw minęli kilka szerokich ulic, skręcili potem w starą część miasta, w uliczki wązkie i ciasne, a długie bez końca i nareszcie weszli w aleją ciemnych drzew, wiodącą wprost do rzeki.

— Dokąd my idziemy? — zapytał Walenty, cokolwiek zaniepokojony.

— Zaraz się przekonasz, mój przyjacielu — miej tylko odwagę, nie bój się, ja jestem z tobą!

— O, ja się niczego nie boję, — zapewniał Walenty, ale potajemnie zrobił jednak znak krzyża świętego.

Wzdłuż brzegu Wisły ciągnął się stary mur, prawie już tylko resztki muru, pochodzącego z dawnych czasów, kiedy Warszawa była fortecą. Do tego muru zaprowadził ksiądz Walentego, wskazał mu na ciemny, dosyć duży wyłom i rzekł:

— Ja wejdę pierwszy — ty za mną, ale podaj mi rękę, bo tu ciemno!

La Fontaine wszedł, podał rękę Walentemu i pociągnął go za sobą.

Obydwaj znajdowali się teraz w długim, ciemnym ganku, tak pewnie długim, jak daleko sięgał mur.

Nie dochodził tu żaden promień światła, ale ksiądz znał widocznie drogę zupełnie dobrze, bo szedł śmiało i prędko naprzód.

Nagle stanął jednak i rzekł cicho:

— Licz teraz siedemnaście stopni, i uważaj, abyś nie spadł.

ROZDZIAŁ X.

Tajemnicza kryjówka.

La Fontaine liczył stopnie sam, i w chwili, gdy wraz z Walentym zeszedł z ostatniego, rozjaśniło się nieco przed nimi. Teraz mógł Walenty rozpoznać swoje otoczenie. Znajdowali oni się w podziemnym jakimś pokoju, oświeconym z góry małą lampką — pokój ten był zupełnie okrągłym i nie miał ani drzwi, ani okien, na ścianach żadnego nie było obrazu, w jednem tylko miejscu był wyrysowany krzyż na ścianie.

Ksiądz nacisnął ukrytą w środku krzyża sprężynę — ściana rozsunęła się i znów ujrzał Walenty długi ganek, w kształcie olbrzymiej rury.

I rzeczywiście, podziemny ten gmach musiał kiedyś być rurą wodną, bo ściany jego pokryte były gdzie niegdzie mchem, zupełnie już skamieniałym.

— Wiesz Walenty, gdzie się znajdujesz? — zapytał La Fontaine z uśmiechem, patrząc na zdumioną twarz chłopaka, — otóż były tu dawniejsze wodociągi — i w tych to starych murach schodzą się ci, którzy radzą o losach nieszczęśliwej naszej ojczyzny.

(Ciąg dalszy nastąpi



POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał RENE BAZIN.

(9) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

Kazał sobie podać listę ochotników. Kiedy przeczytał nazwisko Jana, przyszedł mu na myśl Farnow i zawołał:

— Ochotnik Oberle.

Jan wyszedł z szeregu. Pułkownik, nie zmieniając surowego wyrazu swych oczu, przyglądał się chwil kilka bratu pięknej Lucyny Oberle, którą swemu porucznikowi zaślubić pozwolił.

— Dobrze — wyrzekł i równocześnie podniósł do czapki dwa palce, odwrócił się, a wiatr północny wydymał jego płaszcz szary, powiększając i tak już dosyć przysadzistą postać.

Zaledwie pułkownik znikł z oczu, ukazał się adjutant, bardzo przystojny młodzieniec, skończenie poprawny w stosunkach towarzyskich i wojskowych, stanął przed zgromadzonymi ochotnikami i przeczytał rozkaz, zaliczający każdego z nich do danej kompanii i do danego szwadronu pułku.

Jana zaliczono do trzeciej kompanii drugiego szwadronu.

— Nie mamy szczęścia — mruknął jego sąsiad — należymy do kompanii Gotfryda Hamma.

Teraz już wszyscy ochotnicy byli „wcieleni“ do pułku; każdy z nich miał wyznaczone miejsce w tym zszeregowanym tłumie, odpowiedzialnych za siebie dowódzców, prawo zażądania ze składu ubrań munduru wojskowego i konia ze stajni pułkowej. Zaraz się tą sprawą wszyscy zajęli.

Jan i przypadkowy jego towarzysz, syn księgarza z Lipska, weszli na najwyższe piętro koszar, gdzie się znajdował magazyn z ubraniami i wkrótce otrzymali codzienne i paradne mundury; niektóre części ubrania, np. płaszcze i buty pozostawili kammersierżantowi jako powitanie dla niego i dla innych podoficerów tej samej kompanii. Zajęcie to trwało dosyć długo — skończyło się już po dziewiątej. Następnie młodzi ludzie wstąpili do pokoju żołnierza służbowego, gdzie się znajdowała szafa z białego drzewa, mająca odtąd stanowić wspólną własność żołnierza i ochotnika; ztamtąd poszli do sierżanta stajennego dla wyboru koni, wreszcie do pułkowego krawca, tak, że zaledwie po południu udało się Janowi wymknąć z koszar i naprędce zjeść śniadanie.

Dnia tego wyjątkowo pozwolono ochotnikom nie wracać na godzinę pierwszą. Ukazali się w koszarach zaledwie po czyszczeniu koni; szli wszyscy razem — tak się bowiem ułożyli — wspaniali w nowych, jak z igły zdjętych, mundurach, wzbudzając podziw żołnierzy i zazdrość podoficerów krojem kurtek i kołnierzy, dobrym gatunkiem materyałów, złotemi naszyciami i połyskiem lakierowanych butów. Jednemu tylko ochotnikowi obcą była radość, której doznawali inni z powodu zadowolonej próżności. Przez całe popołudnie przed oczami jego przesuwały się dawno umówione wyrazy telegramu, który prawdopodobnie oczekiwał na niego w mieszkaniu. Niepokój, spowodowany brakiem wiadomości od wuja Ulrycha, rozdrażnienie nerwowe, nadzieja wyznania, które młodość jego jutro rzucić miała tak znienawidzonej, dziś jeszcze szanowanej władzy, sprawiły, że młody człowiek nie odczuł niezmiernego znużenia po tym pierwszym dniu służby wojskowej.

Dopiero po maneżu, po wieczornem opatrzeniu koni, o godzinie wpół do dziesiątej mógł powrócić do siebie. Kilku ochotników z powodu zmęczenia wolało nie jeść kolacyi, aby prędzej wyciągnąć się w łóżku. Jan poszedł za ich przykładem, ale z innych powodów. Wolał natychmiast wrócić na ulicę des Balayeurs.

Gospodyni zatrzymała go na progu domu

— Panie Oberle, jest telegram do pana.

Jan wybiegł na pierwsze piętro, zapalił świecę i przeczytał oczekiwane wyrazy bez podpisu: „Wszystko dobrze się składa.“

A więc wszystko będzie gotowe dzięki staraniom pana Ulrycha. Kość była rzucona. Jan miał opuścić koszary i Alzacyę d. 2-go października, za kilka godzin. Chociaż nie wahał się ani chwili, przeczytał depeszę z uczuciem bolesnem. Rzeczywistość ostatniego rozstania wstrząsnęła nim tak silnie, że, osłabiony już całodziennem znużeniem, zapłakał.

W ubraniu rzucił się na łóżko. Z głową ukrytą w poduszkach myślał o tych wszystkich, którzy dalej w Alzacyi żyć będą, a on na resztę życia wygnańcem pozostanie — i słyszał skargi, zarzuty, które mu postawią, kiedy wieść o jego ucieczce dojdzie do Alsheimu; widział ukochaną, rozradowaną Otylię z Wielkiej soboty, widział ją potem zrozpaczoną w chwili rozstania, gdy odgadując prawdę, błagała o odpowiedź, a on tej odpowiedzi dać nie mógł...... Tak trzeba było postąpić, tak być musiało! Godziny nocy mijały. Ulica milczała. Jan zrozumiał, że wkrótce potrzebny mu będzie cały zapas energii duchowej; odsunął więc wszelkie żale i myśli o Alsheimie; po dwadzieścia razy z rzędu powtarzał sobie całą rozmowę, którą miał trzy dni temu z wujem Ulrychem, uprzytomniając sobie dokładnie to wszystko, co dziś miał wykonać.

Tak, dziś, bo kury piały już w sąsiednich podwórzach.

Rannym pociągiem wyjechać nie mógł. Ochotnicy stawić się mieli w koszarach o godzinie czwartej, a pierwszy pociąg w kierunku Schirmecku wychodził ze Strassburga o godzinie piątej minut czterdzieści osiem; na stacyi Russ-Hersbach stawał po siódmej; to też niebezpiecznie było nim jechać, bo przed upływem trzech godzin spostrzegliby brak ochotnika, zaalarmowali granicę. Wuj Ulrych i Jan zgodnie postanowili wybrać pociąg, wychodzący ze Strassburga o godzinie dwunastej minut dziesięć w południe; ochotnicy udają się wtedy na śniadanie.

— Dla pewności sam jeździłem tym pociągiem — mówił pan Ulrych. — Godziny pamiętam dokładnie. Do Russ-Hersbach przyjedziesz o pierwszej dwadzieścia jedna; powóz w kwadrans dowiezie nas do Schirmeck. Skręcamy na prawo i w pół godziny stajemy w Grand-Fontanie. Tam zostawiamy powóz i szybko idąc, o drugiej czterdzieści pięć może o drugiej pięćdziesiąt będziemy we Francyi; ty zostaniesz, a ja wracam.

Trzeba było koniecznie wyjechać o dwunastej. Uda się to może bez trudności, gdyż o jedenastej ochotnicy kończą zwykle służbę.

Jan zasnął w końcu, ale na krótko.

Przed czwartą rano był już w koszarach św. Mikołaja.

Krótki sen przywrócił mu jednak siłę woli. Jan, jak większość ludzi energicznych, trapił się łatwo przed godziną stanowczą, ale gdy nadchodziła pora działania, odzyskiwał zimną krew i energię. Z całym spokojem opatrzył konia, odbywał ćwiczenie, trwające prawie do jedenastej. Dziś większe nawet okazywał zajęcie przy mustrze, niż wczoraj. Zauważył to jego towarzysz.

— Przyzwyczaiłeś się pan, prawda? — zapytał.

Jan uśmiechnął się. Patrzył teraz na koszary, oficerów, żołnierzy, na tę całą maszyneryę siły zbrojnej Niemiec, jak uczeń, opuszczający szkołę, patrzy na gmach szkolny, swoich profesorów i kolegów. Już był oderwany od tej całości; bawiła go własna, ciekawa obserwacya scen i twarzy, które widział po raz ostatni.

Około jedenastej zobaczył też barona Farnowa, który wracał do koszar na czele oddziału huzarów; biła od niego młodość i sztywność żołnierska; konie, które przez kilka godzin uwijały się po poligonie Neudorfu, wracały po brzuchy zabłocone; ludzie pochylali się na siodłach, czekając tylko na sygnał odpoczynku, aby módz swobodnie przeklinać tę dzienną robotę.

Farnow, wcale nie zmęczony, kierował swym bułanym z taką swobodą, jak gdyby udawał się na proszone polowanie. Jan pomyślał:

— Ten człowiek będzie mężem mojej siostry. Nie zobaczymy się już więcej. W razie wojny będzie moim wrogiem

Wyobraźnia stawiła mu przed oczy wielkiego wodza konnicy; szarżował po płaszczyźnie, mgłą pyłu otoczony, z rozdętemi nozdrzami krzyczał komendę, stojąc w strzemionach.

Farnow nie domyślał się, że dostarcza materyału do takich widzeń młodemu ochotnikowi, którego zaledwie musnął spojrzeniem błękitnych oczu. Razem ze swymi ludźmi udał się w głąb podwórza. Posłyszano potem rozkaz krótki, szczęk broni i nic więcej. Mustra trwała jeszcze z pół godziny dzięki gorliwości instruktora. O wpół do dwunastej Jan, widząc, że ma zaledwie czas zdążyć na dworzec, biegł prawie do izby swego służącego, kiedy posłyszał rozkaz:

— O dwunastej przegląd mundurów trzeciej kompanii drugiego szwadronu.

Jan biegł dalej, nie zważając na tę przeszkodę, która nagle, w ostatniej chwili, wyrastała mu na drodze. Był zdecydowany. Pojedzie. W Russ-Hersbach spotka wuja Ulrycha, który oczekiwać go będzie na dworcu.

Jan jedno tylko miał na myśli: opuścić koszary i dostać się na dworzec. Szybko pochwycił pakunek z cywilnem ubraniem, zbiegł na podwórze i razem z ochotnikami innych kompanii wyszedł na ulicę. Ledwie skręcił na ulicę des Balayeurs, zaczął biedz szybko. Brakowało siedemnastu minut do dwunastej. Czy miał jeszcze czas przebrać się w domu? Czy zdąży na pociąg? Całe miasto trzeba jeszcze przejechać. A z drugiej strony, co za nieostrożność przebywać granicę w mundurze!

Jan, biegnąc, pomyślał, że zdąży porwać z mieszkania ręczną walizkę. Przebierze się w pociągu, albo w Russ-Hersbach. W korytarzu zobaczył gospodynię i rzekł:

— Proszę mi sprowadzić dorożkę. Muszę się śpieszyć, mam bardzo pilną sprawę.

W trzy minuty później z ubraniem cywilnem, włożonem w walizkę, wsiadał do dorożki, rzucając chytrze adres:

— Ulica Mesange.

W pół drogi dopiero rozkazał:

— Na kolej, co koń wyskoczy!

Przybył w ostatniej chwili, kupił bilet pierwszej klasy do Russ-Hersbach i wsiadł do przedziału; tu zastał dwóch podróżnych. W tejże sekundzie pociąg zachwiał się, zagłębił w tunelu pod fortyfikacyami, wypadł z niego i poleciał przez płaszczyznę alzacką.

O tej samej godzinie kapitan, robiąc przegląd inwentarza pułkowego, zauważył jednego z dwóch ochotników, przeznaczonych do jego kompanii i zapytał wachmistrza:

— A gdzie jest drugi?

— Nie widziałem go, panie kapitanie! — odparł Hamm.

I zwracając się do młodego Saksończyka, towarzysza Oberle, zapytał:

— Czy nie wiesz, gdzie on jest?

— Wyszedł po mustrze, panie wachmistrzu, i dotąd nie wrócił.

— Na pierwszy raz — mruknął kapitan — przebaczę mu; prawdopodobnie nie zrozumiał rozkazu; ale gdy wróci, zrób mu, Hammie, wymówkę w mojem imieniu, koniecznie.

Ucieczka więc Jana nie wywołała skutków bezpośrednich. Kiedy jednak ochotnicy, według codziennego zwyczaju, zebrali się między pierwszą a drugą dla czyszczenia koni, musiano zauważyć nieobecność młodego Oberle.

Wzdłuż murów stajennych przy ścianie zewnętrznej stały konie, przywiązane do kółek żelaznych. Kawalerzyści mieli w rękach szczotki, a pomiędzy nimi stali ochotnicy, przybyli wczoraj, ucząc się czyszczenia koni pod kierunkiem służbowych żołnierzy. Sierżanci niedbale pilnowali porządku.

Wachmistrz trzeciej kompanii wyszedł ze swego biura i skierował się ku południowej stronie podwórza, gdzie powinien się był znajdować Oberle. Grubemi wargami gryzł rude wąsy. Przebiegł wzrokiem cały szereg.

— Więc Oberle nie wrócił jeszcze? — zapytał po chwili.

Ten sam Saksończyk odpowiedział:

— Wychodząc z koszar, biegł szybko w kierunku swego mieszkania.

— Czy widziałeś go w restauracyi?

— Nie jadł z nami śniadania.

— To wystarcza — mruknął Hamm.

I bystro odwrócił się od ochotnika. Wydął wargi, przewrócił płowe oczy i zrobił minę, która oznaczała, że uważa sytuacyę za groźną.

Istotnie, była ona groźną, nietylko dla Jana Oberle, ale bardzo poważną i dla samego wachmistrza. O tej godzinie w koszarach nie było ani kapitana, ani porucznika. W razie jakiegoś nieprzyjemnego zajścia, kapitan powiedziałby z pewnością:

— Czemuż mnie nie uprzedziliście?

Hamm przeszedł całe podwórze, rozmyślając nad tem, co ma zrobić i przypominając sobie przy tej sposobności słowa swego ojca, dowódcy oddziału żandarmeryi w Obernai.

Kiedy on, Gotfryd, był przed dwoma tygodniami u rodziców, ojciec mu powiedział:

— W twoim pułku będzie służył syn pana Oberle. Miej go na oku. Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby się zachowywał spokojnie. To portret dziadka, szaleniec, nienawidzący Niemców, zdolny do wszelkich nierozważnych czynów.

Hamm pomyślał, że wpierw, nim zacznie wykazywać swoją gorliwość w sprawie zniknięcia ochotnika, powinien zebrać potrzebne wiadomości. Nie było to rzeczą trudną. Ulica des Balayeurs znajdowała się wprost bramy. Wachmistrz końcami palców strzepał kurz z błękitnej kurtki, przeciął ukośnie podwórze, chcąc dojść co prędzej do drzwi koszar, wyszedł na ulicę i skierował się na lewo do dużego domu z zielonemi okiennicami. Tu było mieszkanie Jana.

Od gospodyni otrzymał następującą odpowiedź:

— Wyjechał powozem około południa. Zabrał z sobą walizkę.

— Jaki podał adres?

— Ulica Mesange.

— Numer?

— Nie słyszałam, nie wiem.

Podejrzenie, powzięte przez Hamma, stało się coraz wyraźniejszem.

Nie wahał się dłużej, ale pobiegł szybko ku nowej dzielnicy miasta. Tam, przy ulicy Herdera, mieszkał kapitan. Nie zastał go w domu. Zawiedziony, rozgniewany, zmęczony szybkim marszem wachmistrz, wracał do koszar najkrótszą drogą, prowadzącą przez ogrody uniwersytetu, kiedy nagle przypomniał sobie, że tuż blisko, po za szeregiem domów Germania, przy ulicy Grandidier, mieszkał porucznik von Farnow. Nie należał on wprawdzie do drugiego szwadronu, ale Hamm wiedział o zaręczynach oficera z panną Oberle, dużo bowiem mówiono o nich w pułku.

Hamm wszedł do wspaniałego domu, zbudowanego z regularnych, wystających płyt kamiennych, wbiegł na pierwsze piętro i zadzwonił do mieszkania Farnowa.

Zapytany ordynans odpowiedział:

— Pan porucznik się ubiera.

Istotnie porucznik von Farnow ubierał się, ponieważ miał zamiar złożyć kilka wizyt, a potem udać się do kasyna oficerskiego. Stojąc w bieliźnie przed zwierciadłem, z ukośnie szlifowanemi brzegami, wycierał twarz wodą. Na toalecie rozłożone były różnej wielkości szczotki, szczoteczki, pilniczki do szlifowania paznokci. W pokoju czuć było zapach wódki kolońskiej.

Farnow zwrócił ku wachmistrzowi mokrą twarz i zapytał, biorąc ręcznik:

— A, to wy, Hammie! Co się stało?

— Panie poruczniku, ośmieliłem się wejść, ponieważ nie zastałem w domu mego kapitana, a ochotnik Oberle...

— Oberle? Co zrobił Oberle? — zapytał Farnow i drgnął nerwowo.

— Nie pokazał się w koszarach od w pół do dwunastej.

Farnow, który w tej chwili ocierał twarz, rzucił gwałtownie ręcznik na stół i zbliżył się do podoficera.

A Hamm pomyślał:

— Przypuszcza to samo, co i ja.

— Jakto? Nie pokazał się! Czy byliście na ulicy des Balayeurs?

— Tak, panie poruczniku, dziesięć minut przed dwunastą wyjechał z domu powozem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

